PHILIP K. DICK

TYTAŃSCY GRACZE

(TŁUMACZYŁA: TERESA TYSZOWIECKA-TARKOWSKA)

1

To była niedobra noc, a kiedy próbował zabrać się do domu - wdał się w koszmarną sprzeczkę z własnym samochodem.

- Pański stan nie pozwala na prowadzenie wozu, panie Garden. Proszę włączyć autopilota i siąść wygodnie z tyłu.

Pete Garden usiadł za sterownicą i odparł, siląc się na dobitność:

- Słuchaj no, wolno mi prowadzić. Jeden drink, a ściśle mówiąc - parę, wyostrzają refleks. A teraz dość tych wygłupów. - Wcisnął starter, bez skutku. - No, jazda!

- Nie włożył pan kluczyka - odezwało się auto.

- Już dobra - poddał się, upokorzony. Może samochód miał rację? Bez specjalnej nadziei wsunął kluczyk w stacyjkę. Silnik zawarczał, ale stery nawet nie drgnęły. Pod karoserią nadal zachodził efekt Rushmore'a; z nim nie miał szans. - Niech ci będzie, możesz sobie prowadzić, skoro ci na tym tak zależy - powiedział, wkładając w swoje słowa maksimum godności. - I tak pewnie wszystko ci się pochrzani, jak zawsze, kiedy jestem... nie w formie.

Przeczołgał się na tył i zwalił na siedzenie. Samochód oderwał się od krawężnika i poszybował w noc, mrugając światłami pozycyjnymi. Chryste, jak nędznie się czuł. Ból rozsadzał mu głowę.

Jego myśli, jak zwykle, skierowały się ku Grze.

Czemu tak źle mu poszło? Wszystkiemu winien był ten pajac, Silvanus Angst, jego szwagier, czy raczej były szwagier. Prawda, upomniał się w myślach, byłby zapomniał. Freya nie jest już jego żoną. Przegrali i ich małżeństwo zostało rozwiązane. Zaczynają znów od zera: Freya jest żoną Clema Gainesa, a on jest nieżonaty, bo nie udało mu się jeszcze wykręcić trójki.

Jutro wykręci trójkę, obiecał sobie. A wtedy będą mu musieli importować żonę, bo próbował już wszystkich w swojej grupie.

Samochód szybował z warkotem nad pustkowiem środkowej Kalifornii, jałową krainą wokół bezludnych miast.

- Czy wiesz, że w grupie nie ma kobiety, której bym nie miał za żonę? - zwrócił się do samochodu. - I, jak dotąd, nie miałem szczęścia, więc to przeze mnie. Prawda?

- Prawda - potaknął samochód.

- Ale nawet gdyby tak było, to i tak nie moja wina, tylko wina Czerwonych Żółtków. Nie cierpię ich. - Wyciągnął się na wznak, obserwując gwiazdy przez przezroczystą kopułę samochodu. - Mimo wszystko kocham cię, jesteś mój od tylu lat. Prawda, że nigdy się nie zepsujesz?

Łzy napłynęły mu do oczu.

- To zależy, czy będzie mnie pan regularnie oddawał do przeglądu.

- Ciekawe, kogo dla mnie sprowadzą?

- Ciekawe - zawtórował samochód.

Zaraz, z jaką to grupą jego grupa - Błękitnawy Lis - najczęściej utrzymywała kontakty? Chyba z SuperChochołem, który spotykał się w Las Vegas, zrzeszając Posiadaczy z Nevady, Utah i Idaho. Przymknął oczy, próbując sobie przypomnieć, jak wyglądały kobiety z SuperChochoła.

Jak tylko wyląduję w moim mieszkaniu w Berkeley, pomyślał, pierwsza rzecz... Nagle dopadła go okrutna prawda.

Nie miał po co wracać do Berkeley. Bo właśnie przegrał Berkeley. Wygrał je Walt Remington, sprawdzając jego blef na polu trzydziestym szóstym. I właśnie z tego powodu był to niedobry wieczór.

- Zmiana kursu - rzucił ochryple obwodom auta. Wciąż miał akt posiadania znacznych obszarów hrabstwa Marin; tam się mógł zatrzymać. - Lecimy do San Rafael - zarządził.

Usiadł chwiejnie, trąc czoło.

- Pani Gaines? - spytał męski głos.

Podobny do głosu tego koszmarnego Billa Calumine'a, pomyślała niezbyt przytomnie Freya. Szczotkowała krótkie, jasne włosy. Nie odwróciła się od lustra.

- Odwieźć cię do domu? - zapytał głos, który, uświadomiła sobie, należał do jej nowego męża, Clema Gainesa. - Chyba wracasz do domu? - Clem Gaines, wielki, obrzmiały, z niebieskimi oczami, jak pęknięte i sklejone nierówno szkła, przetoczył się przez pokój w jej kierunku. Czerpał wyraźną satysfakcję z faktu, że jest jej mężem.

To nie potrwa długo, pocieszyła się Freya. Chyba żebyśmy mieli szczęście, poraziła ją nagła myśl.

Szczotkowała włosy, nie zwracając uwagi na Clema. Jak na stuczterdziestoletnią kobietę wyglądam nieźle, zawyrokowała bezstronnie. Ale nie miałam wyboru... nikt z nas nie miał wyboru.

Wszyscy bez wyjątku byli zakonserwowani nie czymś, lecz brakiem czegoś. Wraz z osiągnięciem dojrzałości usuwano im gruczoł Hynesa - odtąd wiek nie pozostawiał na nich śladów.

- Lubię cię, Freyo - wyznał Clem. - Działasz otrzeźwiająco. Na kilometr widać, że mnie nie lubisz. - Nie wydawał się urażony, rzecz typowa dla półgłówków jego pokroju. - Chodźmy gdzieś i sprawdźmy natychmiast, czy się nam poszczęściło. - Przerwał, bo do pokoju wpełzł wug.

- Patrz, jaki próbuje być miły - powiedziała z obrzydzeniem Jean Blau, nakładając płaszcz. - Zawsze się tak zachowują. - Cofnęła się.

Jej mąż, Jack Blau, odszukał wzrokiem grupowy wugobij.

- Szturchnę go parę razy, to się zmyje - zaproponował.

- Jest nieszkodliwy - zaprotestowała Freya.

- Ma rację - poparł ją Silvanus Angst. Stał przy barku, szykując sobie strzemiennego. - Starczy go posypać solą - zarechotał.

Wug ewidentnie czuł miętę do Clema Gainesa. Lubi go, pomyślała Freya. Może z nim by gdzieś sobie pojechał zamiast z nią. .

Dla Clema byłoby to jednak nie do przyjęcia - nikt nie spoufalał się z dawnym wrogiem. Nie wypadało i już, mimo starań Tytańczyków, by zabliźnić wyrwę antypatii, pamiątkę z czasów wojny. Byli formą życia bazującą na krzemie, nie na węglu. Ich cykl metaboliczny był długi, a katalizatorem nie był tlen, lecz metan. Do tego ten ich biseksualizm... zachowanie godne P-ujemnych.

- Dziabnij go - poradził Calumine Jackowi Blau. Jack dźgnął wugobijem galaretowatą cytoplazmę wuga.

- Zbieraj się - zażądał ostro. - A jakby się tak z nim troszkę zabawić? - Puścił oko do Billa Calumine'a. - Naciągnąć go na rozmowę? Ej, mała wug, co ty na gadu-gadu?

Natychmiast dotarły do nich wyraźne myśli Tytańczyka, adresowane do ludzkich istot zebranych w apartamencie kondominium.

- W każdym przypadku wystąpienia ciąży prosimy niezwłocznie zwrócić się do naszej służby zdrowia...

- Posłuchaj, wugasie - odezwał się Bill Calumine - jeśli przytrafi się nam szczęście, zachowamy wiadomość dla siebie. Nikt nie zamierza ściągać na siebie nieszczęścia. Może o tym nie wiesz?

- Wie, wie - zadrwił Silvanus Angst - tylko nie ma ochoty o tym myśleć.

- Cóż, czas, żeby wugi spojrzały prawdzie w oczy - oświadczył Jack Blau. - Nie lubimy ich i tyle. Zbieraj się - powiedział do żony. - Wracamy do domu.

Niecierpliwym gestem wezwał Jean.

Członkowie grupy, jeden za drugim, opuszczali pokój i frontowymi schodami udawali się do zaparkowanych przed kondominium samochodów. Freya została sam na sam z wugiem.

- Nie było żadnej ciąży w grupie - zwróciła się do wuga, odpowiadając na jego pytanie.

- Tragedia - pomyślał wug w odpowiedzi.

- Ale będzie - dodała Freya. - Wiem, że już wkrótce będziemy mieli szczęście.

- Dlaczego wasza grupa jest tak wrogo nastawiona do nas? - spytał wug.

- Obwiniamy was o naszą bezpłodność, to chyba jasne - odparła Freya, dodając w myślach: zwłaszcza nasz obrotowy. Bill Calumine.

- To był wasz oręż militarny - zaprotestował wug.

- Wcale nie nasz. Ludowych Chin.

Wugowi wydawało się to nie robić różnicy.

- Tak czy owak, robimy wszystko, co w naszej mocy...

- Czy moglibyśmy o tym nie rozmawiać? - przerwała Freya. - Proszę.

- Przyjmijcie naszą pomoc - błagał wug.

- Idź do diabła - odparła i szybkim krokiem zeszła po schodach na ulicę, do swojego wozu.

Chłodne powietrze kalifornijskiej nocy nad Carmel ożywiło ją. Zaczerpnęła głęboki haust powietrza. Chłonąc rześką, dziewiczą woń nocy, spojrzała w gwiazdy.

- Otwórz drzwi, chcę wsiąść - zwróciła się do samochodu.

- Tak jest, pani Garden.

Drzwi wozu rozsunęły się na oścież.

- Nie jestem już panią Garden, tylko panią Gaines. - Siadła za ręczną sterownicą. - Spróbuj to sobie wbić do głowy.

- Tak, pani Gaines.

Silnik drgnął, ledwie wsunęła kluczyk w stacyjkę.

- Czy Pete Garden odjechał? - Omiotła wzrokiem ponurą uliczkę, ale wozu Pete'a nie było. - Pewnie tak.

Poczuła smutek. Jak by to było miło usiąść razem o północy i w blasku gwiazd uciąć sobie małą pogawędkę, jakby nigdy nie przestali być małżeństwem... Cholerna Gra z tymi swoimi obrotami koła. Cholerne szczęście w nieszczęściu, tyle nam tylko pozostało. Jako rasa jesteśmy skończeni.

Przytknęła zegarek do ucha.

- Druga piętnaście, pani Garden - odezwał się słaby głosik.

- Pani Gaines - warknęła.

- Druga piętnaście, pani Gaines.

Spróbowała obliczyć, ilu mieszkańców liczy sobie aktualnie Ziemia: Milion? Dwa? Ile grup brało udział w Grze? Nie więcej niż paręset tysięcy. Wszędzie tam, gdzie doszło do gwałtownej śmierci, jedna z nich znikała nieodwracalnie.

Machinalnie pogrzebała w schowku, szukając schludnego opakowania z wąskim papierkiem tak zwanego króliczka w środku. Znalazła króliczka - jeszcze starego, nie nowego typu - rozpakowała, włożyła do ust i zagryzła.

W mdłym świetle kopuły samochodu obejrzała pasek króliczka. Jeden martwy króliczek, myślała, mając na myśli czasy jeszcze sprzed jej narodzin, gdy za ustalenie pewnego faktu oddawał życie królik. Króliczek, w świetle kopuły, miał kolor biały, nie zielony. Nie była w ciąży. Cisnęła zgnieciony pasek testu do śmietniczki, gdzie uległ natychmiastowemu spaleniu. Szlag by to trafił, zaklęła załamana. Czego się zresztą mogła spodziewać?

Samochód oderwał się od ziemi, kierując się ku jej domowi w Los Angeles.

Jest zbyt wcześnie, by mówić o jej szczęściu z Clemem. Ponad wszelką wątpliwość. To ją rozpogodziło. Jeszcze tydzień, dwa, a potem kto wie...

Biedny Pete, pomyślała. Nie wykręcił jeszcze trójki, na dobrą sprawę nie wrócił jeszcze do Gry. Czy powinnam zrobić mały postój w jego posiadłości w Marin County? Sprawdzić, czy tam dotarł? Z drugiej strony, był w nocy ciężko zalany i nieznośny. Odpychający. Jednak nie ma przepisu ani prawa, które zabraniałoby się nam spotykać poza Grą. Tylko po co? Nie mieliśmy z Pete'em szczęścia, choć czuliśmy coś do siebie.

Nagle włączyła się radiostacja samochodowa. Złapała, nadawany w podnieceniu na wszystkich falach, biuletyn informacyjny grupy z Ontario.

- Tu Szopa Gruszoksięgi - męski głos dźwięczał euforią. - Dziś o dziesiątej wieczór czasu lokalnego spotkało nas szczęście! Jedna z naszych kobiet, pani Don Palmer, jak zwykle, bez specjalnej nadziei, wsunęła do ust króliczka, gdy nagle...

Freya wyłączyła radio.

Dotarłszy do ciemnego, opustoszałego mieszkania w San Rafael, Pete Garden skierował pierwsze kroki do apteczki w łazience, aby sprawdzić, co mógłby wziąć. Bez nich nie zasnąłby, tyle wiedział o sobie. Snoozex? Trzeba by trzech 25-miligramowych proszków, żeby w ogóle zadziałał; brał Snoozex zbyt długo i wziął go zbyt wiele. Potrzebował czegoś mocniejszego. Zawsze może wziąć fenobarbital, ale jutro będzie do niczego. Bromowodorek skopolaminy - to by mogło być to.

Chyba że, olśniło go, spróbowałbym czegoś zdecydowanie mocniejszego. Emfytalu.

Jedno z drugim i z trzecim - i więcej się nie obudzę. Przy dawkach, jakie biorę... No więc... stał, wpatrując się w pigułki na otwartej dłoni. Nikt by mi nie przeszkodził, nie próbował ratować...

- Panie Garden, pański stan zmusza mnie do nawiązania łączności z doktorem Macym w Salt Lake City.

- Nie jestem w żadnym stanie - żachnął się Pete. Szybko wsypał emfytal z powrotem do buteleczki. - Kapujesz? - Czekał. - To była czcza demonstracja pod wpływem chwili. - Co za koszmar stać w łazience, negocjując z efektem Rushmore'a własnej apteczki. - Już dobrze? - spytał z nadzieją.

Apteczka zatrzasnęła się ze szczękiem.

Pete westchnął z ulgą.

Zabrzęczał dzwonek u drzwi. Co dalej, zastanawiał się, wędrując przez mieszkanie, w którym unosiła się lekka woń stęchlizny. Jego umysł nadal zaabsorbowany był pytaniem, co mógłby wziąć na sen. nie budząc systemu alarmowego efektu Rushmore'a. Otworzył drzwi.

Na progu stała jego jasnowłosa ekszona, Freya.

- Cześć - powitał ją chłodno.

Wymijając go, weszła do środka, opanowana, jakby jej wizyta w roli żony Cierna Gainesa była czymś całkowicie naturalnym.

- Co masz w garści? - spytała.

- Siedem tabletek snoozeksu - przyznał się.

- Dam ci coś lepszego. Na razie w fazie testowania. - Pogrzebała w skórzanej torbie, przypominającej torbę listonosza. - Naj-najnowszy środek wyprodukowany w New Jersey przez autofab farmaceutyczny. - Podała mu dużą, niebieską pastylkę. - Nerduwel - wyjaśniła ze śmiechem.

- Ha, ha - odparł ponuro. To miał być dowcip. *Ne'er-do-well*. Bierz coraz więcej. - Przyszłaś się powygłupiać? - Będąc przez ponad trzy miesiące jego żoną, jego partnerką w Blefie, świetnie wiedziała o jego bezsenności. - Mam kaca - wyjaśnił. - Poza tym przegrałem w nocy Berkeley do Walta Remingtona. O czym dobrze wiesz. Więc nie mam nastroju do żartów.

- No to zrób mi kawy - zażądała. Zdjęła kurtkę na kożuszku i przerzuciła przez krzesło. - Albo ja ci zaparzę. Wyglądasz marnie - dodała ze współczuciem.

- Berkeley. Po co w ogóle wystawiałem akt własności? Nawet nie mogę sobie przypomnieć. Mając tyle innych dzierżaw... Musiałem ulec impulsowi autodestrukcji. - Zamilkł. - Lecąc tu, usłyszałem Ontario na wszystkich zakresach.

- Ja też - potaknęła.

- Ich ciąża cię podnieca czy dołuje?

- Nie wiem - odparła chmurnie. - Cieszę się, że im się udało. Ale... - Z założonymi rękami krążyła po mieszkaniu.

- Mnie dołuje - wyznał Pete i postawił czajnik na kuchence.

- Dziękuję - zasyczał czajnik, a raczej efekt Rushmore'a.

- Nie sądzisz, że moglibyśmy się spotykać poza Grą? To się czasami zdarza - odezwała się Freya.

- To byłoby nie fair wobec Clema.

Solidarność z Clemem Gainesem - przynajmniej chwilowo - przeważyła u Pete'a nad uczuciem do Freyi.

Poza tym był ciekaw swojej przyszłej żony. Prędzej czy później wskazówka stanie na trójce.

2

Nazajutrz rano Pete'a Gardena obudziły dźwięki tak cudownie nieprawdopodobne, że zerwał się z łóżka i stał przez chwilę, nasłuchując bez ruchu. Słyszał dzieci. Kłóciły się gdzieś pod oknami jego mieszkania w San Rafael.

Głosy należały do chłopca i dziewczynki. To znaczy, że od czasu jego ostatniej bytności w hrabstwie doszło do narodzin. W dodatku z rodziców P-ujemnych. Nie posiadających dóbr umożliwiających uczestnictwo w Grze. Nie do wiary, powinien podarować rodzicom małe miasteczko... San Anselmo lub Ross, albo jedno i drugie. Zasłużyli na szansę, by grać. Chyba że nie mają na to ochoty.

- Ty taki. - Dziewczynka była mocno zagniewana.

- Ty owaka. - W głosie chłopczyka brzmiało potępienie.

- Oddawaj! Odgłosy szamotaniny.

Zapalił papierosa, pozbierał garderobę i zaczął się ubierać.

Jego wzrok padł na oparty o ścianę w kącie pokoju karabin MV-3... przystanął, zalany falą wspomnień o wszystkim, co wiązało się z tą staroświecką, znakomitą bronią. Swego czasu przygotowywano go do odparcia chińskich komunistów właśnie tym typem karabinu. Jednak MV-3 nigdy nie ujrzał wojny, gdyż chińscy komuniści nie pojawili się... przynajmniej we własnej osobie. Wysłali za to swoich ambasadorów w postaci promieniowania Hinkla, wobec którego cały arsenał MV-3 kalifornijskiej armii obywatelskiej okazał się bezsilny. Promieniowanie z satelity Wasp-C dokonało reszty i Stany Zjednoczone przegrały. Co nie znaczy, że Chiny Ludowe zwyciężyły. Nikt nie wygrał. Dopilnowały tego cholerne promienie Hinkla, obiegając cały świat.

Pete ocknął się, wziął do ręki MV-3 i uniósł, jak przed laty, za młodu. Broń, uświadomił sobie, miała prawie sto trzydzieści lat. Prawdziwy staroć. Czy nadal była sprawna? Nieważne... nie było już kogo zabijać. W wyludnionych miastach Ziemi tylko szaleniec mógł znaleźć powód, by strzelać. W dodatku zawsze jeszcze miał szansę się rozmyślić. Zważywszy na to, że Kalifornia liczyła niespełna dziesięć tysięcy mieszkańców... Ostrożnie odstawił broń.

Karabin z założenia nie służył do zabijania ludzi; jego maleńkie naboje A miały za zadanie unieruchomić radzieckie czołgi TL-90, przebijając ich pancerz. Chciałbym zobaczyć „morze ludzkich głów" z tamtej epoki, pomyślał, wspominając filmy szkoleniowe demonstrowane przez dowództwo Szóstej Armii. Chińczycy, nie-Chińczycy, przydałoby się więcej ludzi.

Chylę czoło przed tobą, Bernhardcie Hinklu, pomyślał z sarkazmem. Humanitarny geniuszu bezbolesnej broni... miałeś rację, obyło się bez bólu. Nie czuliśmy nic, nawet o niczym nie wiedzieliśmy. Dopiero później...

Zaczęto masowo usuwać gruczoł Hynesa. Decyzja okazała się słuszna - na świecie została chociaż garstka żywych. Co więcej, trafiały się płodne kombinacje mężczyzn i kobiet. Bezpłodność nie była stanem absolutnym, lecz względnym. Teoretycznie mogli mieć dzieci; w praktyce mieli je nieliczni.

Na przykład dzieci pod jego oknem...

Ulicą pędziła homeostatyczna sprzątaczka, zbierając śmieci i kontrolując wysokość trawników, najpierw po jednej, potem po drugiej stronie. Równomierny warkot mechanizmu wzniósł się ponad głosy dzieci.

Dbamy o bezludne miasto, przemknęło przez myśl Pete'owi, gdy pojazd przystanął, a jego wysięgniki pomaszerowały opornie w stronę krzaku kamelii. Właściwie bezludne - jednak mieszkało w nim koło tuzina P-ujemnych, tak przynajmniej wynikało z ostatniego spisu, jaki dostał do wglądu.

Za sprzątaczką nadjechał jeszcze wymyślniejszy pojazd; gnał jezdnią jak wielka pchła na dwudziestu odnóżach wyczulona na woń rozkładu. Wóz naprawczy przeciwdziałał wszelkim oznakom ruiny, zorientował się Pete. Zaszywał rany miasta, powstrzymywał destrukcję u źródeł. Po co? Dla kogo? Słuszne pytanie. Może wugi z satelitów obserwacyjnych od ruin wolały oglądać cywilizację w idealnym stanie?

Pete zgasił papierosa i wszedł do kuchni, licząc, że znajdzie coś na śniadanie. Nie mieszkał tutaj od paru lat, mimo to po otwarciu hermetycznej lodówki znalazł nadający się do spożycia bekon, mleko i jaja, chleb i dżem, i wszystko, czego trzeba do śniadania. Poprzednim Posiadaczem-Rezydentem w San Rafael był Antonio Nard. Musiał zostawić produkty, nie wiedząc, że utraci tytuł w Grze i nigdy nie wróci.

Ale Pete miał na głowie coś ważniejszego od śniadania.

- Poproszę Waltera Remingtona, hrabstwo Contra Costa. - Włączył wideofon.

- Robi się, panie Garden - odparł wideofon. Ekran rozjaśnił się po chwili.

- Cześć. - Obwisła, skwaszoną twarz Remingtona patrzyła tępo na Pete'a. Walt nie zdążył się jeszcze ogolić. Twarz miał zarośniętą, a pod czerwonymi szparkami oczu worki z niewyspania. - Czemu tak wcześnie? - wymamrotał. Miał jeszcze na sobie piżamę.

- Pamiętasz, co się zdarzyło dzisiejszej nocy?

- Oczywiście. Jasne - potaknął Walt, wygładzając rozczochrane włosy.

- Przegrałem do ciebie Berkeley. Sam nie wiem, po co je wystawiałem. To była przecież moja posiadłość, moja rezydencja. Rozumiesz.

- Rozumiem - odparł Walt.

Pete wziął głęboki oddech.

- Dam ci za nie trzy miasta w Marin County: Ross, San Rafael i San Anselmo. Muszę odzyskać Berkeley. Chcę tam mieszkać z powrotem.

- Możesz mieszkać w Berkeley. Oczywiście, jako rezydent P-ujemny, niejako Posiadacz.

- Nie mogę wprowadzić się na takich warunkach - zaprotestował Pete. - Chcę być właścicielem Berkeley, nie jakimś pospolitym osiedleńcem. Daj spokój, Walt, chyba nie zamierzasz mieszkać w Berkeley. Znam cię. Za zimno i za dużo mgły. Lubisz gorący klimat dolin, coś a la Sacramento. Albo twoja obecna rezydencja, Walnut Creek.

- To prawda - przyznał Walt. - Ale nie mogę wymienić się z tobą. - Jego zgoda była wyraźnie pozorna. - Nie mam Berkeley. Kiedy wróciłem do domu, czekał na mnie pośrednik. Nie pytaj, skąd wiedział, dość, że wiedział, iż wygrałem od ciebie Berkeley. Matt Pendleton i S-ka, wielkie cwaniaki ze Wschodniego Wybrzeża. - Walter wydawał się zgaszony.

- I sprzedałeś im Berkeley? - spytał z niedowierzaniem Pete. To znaczyło, że ktoś, kto nie należał do ich grupy, wykupił kawałek Kalifornii. - Dlaczego to zrobiłeś? - spytał.

- Dostałem za nie Salt Lake City - wyjaśnił Walter z posępną dumą. - Propozycja była nie do odrzucenia. Teraz mogę dołączyć do grupy Pułkownika Kitchenera; grają w Provo, Utah. Wybacz, Pete. - Zmagał się z poczuciem winy. - Chyba ciągle miałem jeszcze nieźle w czubie. W każdym razie propozycja wydała mi się kusząca.

- Dla kogo Pendleton i S-ka kupili miasto?

- Nie powiedzieli.

- A ty nie spytałeś?

- Nie - przyznał Walt z grobową miną. - Nie spytałem. Domyślam się, że powinienem był spytać?

- Chcę odzyskać Berkeley - oświadczył Pete. - Wyśledzę, kto je kupił, i odzyskam, nawet gdyby miało mnie to kosztować hrabstwo Marin. A tymczasem będę żyć marzeniami o tym, jak ci dołożę w następnej Grze. Choćby Bóg wie kto był twoim partnerem, obedrę cię do gołej skóry. - Z furią wyłączył wideofon. Ekran zgasł.

Jak Walt mógł mu zrobić coś takiego? Przekazać prawa własności komuś spoza grupy, gorzej, komuś ze Wschodniego Wybrzeża? Musi popytać się, kogo Pendleton i S-ka mogli reprezentować w tej transakcji.

Skóra mu ścierpła. Chyba się domyślał.

3

Dla pana Jerome'a Luckmana z Nowego Jorku dzień był bardzo dobry. Ponieważ - olśniło go, ledwie otworzył oczy - od dziś był właścicielem Berkeley w Kalifornii. Za pośrednictwem Matt Pendleton i S-ka dorwał wreszcie wyborny kąsek Kalifornii, co znaczyło, że od dziś mógł uczestniczyć w rozgrywkach Błękitnawego Lisa, które co noc odbywały się w Carmel. A Carmel było niemal równie piękne jak Berkeley.

- Chodź tu, Sid - zawołał. Rozparł się na krześle, zaciągając się. jak zawsze po śniadaniu, wybornym meksykańskim cygarem.

Drzwi gabinetu uchyliły się. Do środka wsunął głowę P-ujemny sekretarz Luckmana, Sid Mosk.

- Słucham, panie Luckman.

- Sprowadź przewidzą - zażądał Luckman. - Nareszcie mam dla niego zajęcie. - Zajęcie, warte ryzyka wykluczenia z Gry, dodał w myślach. - Jakżeż się on nazywał? Dave Mutreaux, czy coś w tym rodzaju. - Luckman zachował mgliste wspomnienie rozmowy kwalifikacyjnej z przewidzem, ale człowiek na jego stanowisku widywał tylu ludzi każdego dnia. Nie mówiąc o tym, że Nowy Jork był miastem gęsto zaludnionym, liczył prawie piętnaście tysięcy dusz. W tym nowych

dusz, gdyż było sporo dzieci. - Dopilnuj, żeby wszedł od zaplecza - dodał. - Nie chcę, żeby go ktoś zobaczył. - Musiał dbać o swoją reputację. A sytuacja była delikatna.

Naturalnie wprowadzanie do Gry osobników o zdolnościach psionicznych było nielegalne; stosowanie Psi w Grze trąciło ordynarnym oszustwem. Wiele grup latami stosowało prewencyjnie EEG, elektroencefalogram, w końcu jednak zaniechano tej ostrożności. Na to w każdym razie liczył Luckman. Z pewnością nie stosowano go w stanach wschodnich, gdzie każdy psionik został ujawniony, a Wschód, jakkolwiek by było. nadawał ton reszcie kraju.

Na biurko wskoczył jeden z jego kotów, szarobiały kocur z krótką sierścią. Luckman machinalnie podrapał go pod brodą. Jeśli nie uda mu się wcisnąć przewidza do Błękitnawego Lisa, chyba spróbuje sam. Co prawda nie grał od roku... ale też był najlepszym graczem w okolicy. Inaczej nie wszedłby w posiadanie Nowego Jorku i Okolic. I to w dniach ostrej konkurencji. Konkurencji, którą Luckman jednym palcem spychał w szeregi P-ujemnych.

Nie mam sobie równych w Blefie, myślał. Tyle tylko, że wszyscy o tym wiedzą. Mimo to, gdyby wziąć telepatę... sukces byłby murowany. A murowany sukces to było to, o co mu szło, bo, choć był doświadczonym Bleferem, nie lubił ryzyka. Jerome Luckman nie grał dla przyjemności; grał, by wygrać.

Choćby to, że zepchnął z planszy wielkiego Gracza, Joe Schillinga. Teraz Joe prowadził mały antykwariat fonograficzny w Nowym Meksyku; lata Gry miał dawno za sobą.

- Pamiętasz, jak wykończyłem Joe Schillinga? - spytał Sida. - Tę ostatnią rozgrywkę pamiętam jak dziś. Joe wyrzucił kostką piątkę i pociągnął kartę z piątej talii. Przyglądał się jej o wiele za długo. Wiedziałem, że będzie blefował. Wreszcie przesunął swój pionek o osiem pól do przodu. Wylądował na polu z wysoką wygraną, tym, wiesz, gdzie dostajesz w spadku po zmarłym wuju sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Jego pionek stał na tym polu, a ja spojrzałem tylko i... - Możliwe, że sam miał uzdolnienia Psi, gdyż poczuł nagle, że potrafi czytać w myślach Joe Schillinga. Wyciągnął szóstkę, pomyślał z niezachwianą pewnością. Osiem pól do przodu było blefem.

Głośno zażądał sprawdzenia blefu Schillinga. Były to czasy, gdy Joe był Posiadaczem Nowego Jorku i nie miał równych sobie w Grze; nikt nigdy nie sprawdzał jego posunięć.

Unosząc kudłatą, brodatą głowę, Joe Schilling spojrzał mu w oczy. Zapadła cisza ciężka od wyczekiwania.

- Naprawdę chcesz sprawdzić, co wyciągnąłem? - spytał Joe Schilling.

- Tak. - Czekał z zapartym tchem. W płucach czuł bolesny ucisk. Jeśli pomylił się, jeśli karta była naprawdę ósemką, Joe Schilling wygrałby po raz kolejny, a jego pozycja w Nowym Jorku jeszcze bardziej się umocniła.

- Szóstka - powiedział cicho Joe Schilling. Odwrócił kartę Luckman nie pomylił się; Joe blefował.

Prawo własności do Nowego Jorku i Okolic miał już w kieszeni.

Kot na biurku miauknął, upominając się o śniadanie. Kiedy Luckman odepchnął go, zeskoczył na podłogę.

- Darmozjadzie - powiedział Luckman przyjaźnie. Lubił kota. gdyż wierzył święcie, że koty przynoszą szczęście. Tamtej nocy w kondominium, gdy wygrał z Joe Schillingiem, towarzyszyły mu dwa kocury; wygrana mogła być ich zasługą, nie jego utajonych zdolności Psi.

- Mam na wizji Dave'a Mutreaux - oznajmił sekretarz. - Czy chce pan z nim rozmawiać osobiście?

- Jeżeli rzeczywiście jest przewidzem, od dawna wie, o co mi chodzi, więc nie ma żadnej potrzeby, bym ja czy ktoś inny rozmawiał ze *zweppem*. - Paradoksy prekognicji nieodmiennie ekscytowały i bawiły Luckmana. - Rozłącz nas, Sid, i jeśli nie zjawi się tutaj, to będzie znaczyło, że jest do bani.

Sid posłusznie przerwał połączenie. Ekran zgasł.

- Pozwolę sobie jednak zauważyć, że jeśli pan z nim nigdy nie porozmawia, to on nie ma teraz nic do przewidzenia - powiedział Sid. - Dobrze mówię?

- Niech wobec tego przewidzi rzeczywistą rozmowę ze mną - odparł Luckman. - Tu, w moim gabinecie. Tę, kiedy będę mu wydawał polecenia.

- Chyba niezły pomysł - przyznał Sid.

- Berkeley - zadumał się Luckman. - Nie byłem tam od osiemdziesięciu czy dziewięćdziesięciu lat. - Jak wielu Posiadaczy, nie lubił przebywać na terytorium, które nie było jego własnością. Przesądnie wierzył, że przynosi to pecha. - Ciekawe, czy nadal tonie we mgle. Cóż, wkrótce się przekonamy. - Z szuflady biurka wyciągnął akt własności, który dostarczył mu pośrednik. - Spójrzmy, kto był ostatnim Posiadaczem. - Wziął do ręki dokument. - Walter Remington; to ten, który je wczoraj wygrał i zaraz odprzedał. A przed nim był inny gość, niejaki Pete Garden. Nie zdziwiłbym się, gdyby tego Pete'a Gardena właśnie trafił szlag, albo za chwilę, kiedy się dowie. Pewnie zamierzał je wygrać z powrotem.

Ale już go nie wygra. W każdym razie - nie od Luckmana.

- Zamierza pan skoczyć na Zachodnie Wybrzeże? - spytał Sid.

- Owszem - odparł Luckman. - Muszę się tylko spakować. Zrobię sobie z Berkeley rezydencję wypoczynkową, o ile mi się tam spodoba. Jeśli całość trzyma się jeszcze kupy. Nie cierpię rozpadających się miast; jak się domyślasz, nie mam pretensji o brak mieszkańców. Ale ruiny... - Wzdrygnął się.

Jeśli coś przynosiło pecha, to z pewnością miasto, które popadło w ruinę, jak wiele miast Południa. W młodości był Posiadaczem kilku miast w Karolinie Północnej. Nigdy nie zapomni *fshnuger*, jakie odczuwał w ich murach.

- Czy pod pańską nieobecność mógłbym być tytularnym Posiadaczem? - spytał Sid.

- Jasne - zapalił się Luckman. - Uprawnię cię złotymi literami na pergaminie, przewiążę czerwoną wstążeczką i opatrzę pieczęcią z laku.

- Naprawdę? - Sid posłał mu niepewne spojrzenie.

- Lubisz takie ceregiele - roześmiał się Luckman. - Jak Pu-ba z *Mikada*. Jego Wysokość Tytularny Lord Posiadacz Miasta Nowy Jork, a na boku łapówki za ulgi podatkowe. Zgadłem?

- Pozwolę sobie zauważyć, że tyrał pan prawie sześćdziesiąt pięć lat na tytuł Posiadacza tego rejonu - wymamrotał, rumieniąc się Sid.

- Miałem plan poprawy warunków społecznych - odparł Luckman. - Kiedy dostałem akt własności, było tam raptem parę setek osób. A teraz? Nie wprost, ale pośrednio to moja zasługa, bo zachęciłem osobników P-ujemnych do Gry, wyłącznie zresztą w celu zdobycia i wymiany partnerów.

- Oczywiście, panie Luckman. Szczera prawda - potaknął Sid.

- Dzięki temu odkryliśmy wiele płodnych par, które w innych warunkach nigdy by się nie spotkały, zgadza się?

- Tak jest - przytaknął Sid. - Tą grą w zamianę stołków w jakimś sensie ratuje pan gatunek ludzki.

- Chciałbym, żebyś o tym zawsze pamiętał - powiedział Luckman. Schylił się i podniósł swojego drugiego kota, czarną kocicę z wyspy Man. - Biorę cię ze sobą - powiedział, głaszcząc kotkę. - Wezmę z sobą jakieś sześć do siedmiu kotów - zadecydował. Na szczęście.

A także, chociaż nie powiedział tego na głos, dla towarzystwa. Na Zachodnim Wybrzeżu nikt go nie lubił; nie miał tam swoich ludzi, swoich P-ujemnych, którzy by mu gratulowali kolejnych podbojów. Na myśl o tym posmutniał. Pomieszkam tam trochę, popracuję nad rozbudową, jak w Nowym Jorku, pocieszył się. Berkeley przestanie być pustkowiem, gdzie straszą upiory przeszłości.

Tej przeszłości, dodał w myślach, kiedy ludzkość rozsadziła planetę, wylewając się na Lunę, a nawet Marsa. Populacja na progu exodusu i nagle te durne Czerwone Żółtki dorywają się do wynalazku eks-hitlerowca z Niemiec Wschodnich, tego... brakło mu słów na określenie Bernhardta Hinkla. Szkoda, że już nie żyje. Chętnie by spędził z nim parę chwil na osobności. Bez świadków.

Jedno, co przemawiało na obronę promieni Hinkla to fakt, że dosięgły w końcu Niemiec Wschodnich.

Jest ktoś, kto będzie wiedział, kogo mogli reprezentować Matt Pendleton i S-ka, myślał Pete Garden, pośpiesznie opuszczając mieszkanie w San Rafael. Skierował się na parking. Wiadomość warta była wycieczki do Albuquerque w Nowym Meksyku, miasta pułkownika Kitchenera. Tak czy owak, wybierał się tam po płytę.

Dwa dni wcześniej dostał list od Joe Schillinga, najsłynniejszego w świecie sprzedawcy unikalnych starych płyt. Pete zamówił u niego krążek Tito Schipy: udało się go wreszcie odnaleźć.

- Dzień dobry, panie Garden - odezwał się samochód, kiedy Pete włożył kluczyk w drzwiczki.

- Cześć - odparł nieprzytomnie Pete.

Z podjazdu domu z naprzeciwka gapiła się para dzieciaków, które słyszał rano.

- Czy jesteś Posiadaczem? - spytała dziewczynka. Patrzyli na barwną opaskę z insygniami wokół jego rękawa. - Pierwszy raz pana widzimy, panie Posiadaczu - powiedziała dziewczynka z podziwem. Miała jakieś osiem lat.

- Bo nie byłem w hrabstwie Marin od lat - wyjaśnił. - Jak się nazywacie? - spytał, podchodząc do dwójki.

- Ja się nazywam Kelly - odparł chłopiec. Był chyba młodszy od dziewczynki. Mógł mieć najwyżej sześć lat. Wyglądali na parę uroczych dzieciaków. To miło, że mieszkali w sąsiedztwie. - Moja siostra nazywa się Jessica. Mamy jeszcze starszą siostrę, Mary Anne. Nie ma jej, bo jest w szkole w San Francisco.

Troje dzieci w jednej rodzinie!

- Jak się nazywacie? - spytał, zaintrygowany.

- McClain - odparła dziewczynka. - Mama i tato są jedynymi ludźmi w Kalifornii, którzy mają troje dzieci - dodała z dumą.

Wierzył jej bez trudu.

- Chciałbym ich poznać - oznajmił.

- Mieszkamy w tamtym domu - pokazała Jessica. - Dziwne, że nie znasz mojego taty, skoro jesteś Posiadaczem. Mój tato sprowadził sprzątaczkę i wozy naprawcze. Załatwił dostawę u wugów.

- Wygląda na to, że nie boicie się wugów? - spytał Pete.

- Nie. - Parka potrząsnęła głowami.

- Prowadziliśmy z nimi wojnę - przypomniał dzieciom.

- To było dawno temu - odparła dziewczynka.

- Racja - zgodził się Pete. - Cóż, wasza postawa jest bardzo chwalebna. - Chciałbym ją podzielać.

Z domu w głębi ulicy wyszła szczupła kobieta, kierując się w ich stronę.

- Mamo, zobacz! - zawołała z podnieceniem mała. - Ten pan to Posiadacz!

Atrakcyjna, młodo wyglądająca brunetka w spodniach i kolorowej koszuli w kratę podeszła do nich zgrabnym krokiem.

- Witamy w hrabstwie Marin - zwróciła się do Pete'a. - Nieczęsto pana widujemy, panie Garden.

Wyciągnęła rękę. Uścisnęli sobie dłonie.

- Gratuluję pani - powiedział Pete.

- Trójki dzieci? - uśmiechnęła się pani McClain. - Miałam, jak się to mówi, więcej szczęścia niż rozumu. Co pan powie na filiżankę kawy przed odlotem z hrabstwa? Nie wiadomo, czy pan tu jeszcze wróci.

- Wrócę - zapewnił Pete.

- Czyżby? - Kobieta nie wyglądała na przekonaną; w miłym uśmiechu czaił się cień ironii. - Czy wie pan, że dla nas, P-ujemnych tej okolicy, jest pan niemal legendą, panie Garden? Tak, tak, dzisiejsze spotkanie z panem na wiele tygodni zapewni nam wdzięcznych słuchaczy.

Pete nie mógł w żaden sposób rozgryźć, czy pani McClain kpi sobie z niego, czy nie; mimo szumnych słów jej ton był obojętny. Czuł się niepewnie. Nie wiedział, co jest grane.

- Na pewno wrócę - zapowiedział. - Przegrałem Berkeley. gdzie...

- Aha - skinęła głową pani McClain, uśmiechając się coraz szerzej. Jej uśmiech miał w sobie coś władczego, wzbudzał respekt. - Rozumiem, powinęła się panu noga w Grze. Dlatego nas pan zaszczycił.

- Jestem w drodze do Nowego Meksyku - wyjaśnił Pete, wsiadając do samochodu. - Może spotkamy się jeszcze. - Zatrzasnął drzwiczki. - Ruszaj - zwrócił się do auta.

Dzieci machały mu na pożegnanie. Pani McClain stała nieruchomo. Skąd ta niechęć, próbował odgadnąć. Chyba nie była wyłącznie wytworem jego wyobraźni? Może złościł ją podział ludności na P-dodatnich i P-ujemnych, czuła się pokrzywdzona faktem, że tylko wybrańcy mieli dostęp do planszy?

Trudno jej się dziwić, skonstatował Pete. Jednak powinna zrozumieć, że każdy z nas w każdej chwili mógł stracić status Posiadacza. Choćby taki Joe Schilling... ongiś najbardziej wpływowy Posiadacz na Zachodnim Wybrzeżu, dziś - P-ujemny, zapewne do końca swoich dni. Granica nie była tak sztywna, jak by się mogło wydawać.

W końcu on sam swego czasu też był P-ujemnym. Prawo własności uzyskał w jedyny legalny sposób: zgłosił swoją kandydaturę i czekał, aż umrze jakiś Posiadacz. Zgodnie z ustanowionym przez wugów prawem, wytypował dzień, miesiąc i rok. I, o dziwo, trafił. Czwartego maja 2143 pewien Posiadacz, niejaki William Rust Lawrence, zginął w wypadku samochodowym w Arizonie. Pete został jego następcą, dziedzicem jego posiadłości i członkiem grupy, z którą grał.

Wugi, hazardziści z krwi i kości, uwielbiali, gdy dziedziczeniem rządził przypadek. Podobnie jak nienawidzili zależności przyczynowo-skutkowych.

Ciekawe, jak ma na imię pani McClain. Niewątpliwie jest bardzo ładna, pomyślał. Podobała mu się, mimo niepojętego rozgoryczenia, podobał mu się jej wygląd, sposób bycia. Był ciekaw dziejów rodziny McClain. Mogli być zdeklasowanymi Posiadaczami. To by wiele wyjaśniało.

Popytam się, zdecydował. Skoro mają trójkę dzieci, są pewnie dosyć znani. Joe Schilling zna wszystkie plotki. Wypytam go.

4

- Naturalnie, znam Patricię McClain - powiedział Joseph Schilling, przebijając się przez nieprzytomnie zabałaganione, zakurzone wnętrze sklepu do pomieszczeń mieszkalnych na tyłach. - Jak to się stało, że na nią wpadłeś? - zwrócił się z pytającym spojrzeniem do Pete'a.

- McClainowie mieszkają w mojej Posiadłości. - Z trudem przeciskał się między stertami płyt, pudeł, katalogów i starych plakatów. - Jakim cudem udaje ci się cokolwiek tutaj znaleźć?

- Mam swój system - odparł Schilling mgliście. - Powiem ci. czemu Pat McClain jest tak rozgoryczona. Należała do P-dodatnich, ale wykluczono ją z Gry.

- Dlaczego?

- Pat jest telepatką. - Joe Schilling omiótł skrawek kuchennego stołu. Wyjął dwie filiżanki z utłuczonym uszkiem. - Ulung?

- O, tak! - cmoknął z aprobatą Pete.

- Mam dla ciebie płytę z *Don Pasquale*. - Schilling nalewał herbaty z czarnego, porcelanowego czajniczka. - Tę z arią Schipy. Da-dum, da-da da. Piękny kawałek. - Nucąc, wydobył cytrynę i cukier z szafki nad zawalonym naczyniami zlewem. Zniżył głos. - Wybacz, mam w sklepie klienta. Mrugnął do Pete'a. celując palcem w szparę w zakurzonej i poplamionej zasłonie między częścią mieszkalną a sklepem. Pete dostrzegł wysokiego, kościstego młodzieńca z ogoloną głową, w rogowych okularach; młodzian przeglądał wystrzępiony katalog starych płyt. - Nawiedzony - wyjaśnił przyjaźnie Schilling. - Rano joga, potem jogurt. Do tego garściami witamina E, na potencję. Różni tu przychodzą.

- Cz-czy m-ma pan jakieś płyty Claudii Muzzio, panie Sch-schilling? - krzyknął ze sklepu młody człowiek.

- Tylko *Scenę z. listem z Traviaty* - odkrzyknął Schilling, nie wstając od stołu.

- Pani McClain wydała mi się diabelnie atrakcyjna - podjął Pete.

- O, tak, i pełna życia. Ale to nie dla ciebie. W klasyfikacji Junga jest typem emocjonalnym introwertycznym. Typ ten cechuje głębia przeżyć, skłonność do melancholii i idealizmu. Ty potrzebujesz płytkiej, platynowej blondyny, która podtrzymywałaby cię na duchu. Kogoś, kto by cię wyciągał z depresji samobójczej, w którą właśnie popadłeś albo z której właśnie wychodzisz. - Schilling łyknął herbaty, upuszczając parę kropli na gęstą, rudawą brodę. - I co ty na to? Powiedz coś. A może znów masz tę swoją depresję?

- Nie - zaprzeczył Pete.

- P-panie Schilling - odezwał się chuderlawy młodzian z frontowej części sklepu - czy mogę sobie posłuchać *Una Furtiva Lagrima* w wykonaniu Gigliego?

- Jasne - mruknął nieprzytomnie Schilling, pocierając policzek. - Pete - zaczął - doszły mnie plotki, że przegrałeś Berkeley.

- Owszem - przyznał Pete. - A Matt Pendleton i S-ka...

- To może być tylko niejaki Szczęściarz, Jerome Luckman - oświadczył Schilling. - *Aj waj*, to ostry Gracz. Powinienem był się domyślić. Teraz dołączy do twojej grupy i za chwilę będzie miał całą Kalifornię w kieszeni.

- Nie ma nikogo, kto by dał radę Luckmanowi?

- Jest - odparł Joe Schilling. - Ja bym dał radę.

- Poważnie? - Pete wytrzeszczył oczy, - Przecież on cię wykończył, podobnie jak wielu innych.

- Po prostu miałem pecha - uspokoił go Schilling. - Gdybym miał więcej posiadłości do wystawienia, gdybym jeszcze przez chwilę utrzymał się na Planszy. - Uśmiechnął się ironicznie, blado. - Blef to fantastyczna gra. Jak w pokerze, od techniki zależy tyle samo co od przypadku. Możesz wygrać lub przegrać przez jedno i drugie. Ja przegrałem przez przypadek, w jednej pechowej rozgrywce, dokładnie mówiąc, kiedy Luckman jeden jedyny raz mnie sprawdził.

- Nie wygrał dzięki umiejętnościom?

- Diabła tam! Luckman ma tyle szczęścia, co ja umiejętności; powinniśmy się nazywać Luckman i Skillman[1]. Gdybym znalazł sponsora i wrócił do Gry... - Czknął gwałtownie. - Przepraszam.

- Ja cię wystawię do Gry - podjął nagłą decyzję Pete.

- Nie stać cię na to. Jestem kosztowny, bo nie od razu zaczynam wygrywać. Czynnik umiejętności wymaga czasu, zanim przezwycięży działanie przypadku... takiego jak ów słynny traf, dzięki któremu Luckman mnie wykończył.

Ze sklepu dobiegał zachwycający tenor Gigliego; Schilling na chwilę zamilkł, słuchając. Za stołem Eeore, wielka, niechlujna papuga Joe, podrażniona ostrym, krystalicznym tenorem zaczęła miotać się po klatce. Schilling posłał papudze karcące spojrzenie.

- *Zmarzła twoja maleńka rączka*, pierwsza, zdecydowanie lepsza z dwóch wersji arii w wykonaniu Gigliego - wyjaśnił Schilling. - Słyszałeś kiedyś późniejszą wersję? Tę z płyty z całą operą, niewyobrażalny koszmar. Czekaj. - Zamilkł, zasłuchany. - Wyborna płyta - orzekł po chwili. - Powinna trafić do twojej kolekcji.

- Nie przepadam za Giglim - oznajmił Pete. - On szlocha.

- Taka konwencja - zirytował się Schilling. - Był Włochem, niewolnikiem tradycji.

- Schipa nie szlochał.

- Schipa był samoukiem.

Wysoki, chuderlawy młodzian podszedł do nich z płytą Gigliego.

- Ch-chciałbym to kupić. Ile p-płacę?

- Sto dwadzieścia pięć dolarów.

---

[1] *Luckman* (ang.) - człowiek szczęścia, *Skillman* (ang.) - człowiek umiejętności (przyp. tłumacza)

- Ojej - jęknął młodzieniec zgnębiony. Mimo to sięgnął po portfel.

- Tylko nieliczne przeżyły wojnę z wugami - wyjaśnił Schilling, biorąc od młodego człowieka płytę, którą zaczął pakować w grubą tekturę.

Do sklepu weszła para nowych klientów, mężczyzna i kobieta, oboje niscy i przysadziści.

- Dzień dobry, Les, dzień dobry, Es - powitał ich Schilling. - Pan i pani Sibley, jak ty uzależnieni od arii operowych. Z Portland w Oregonie - zwrócił się do Pete'a. - Posiadacz Peter Garden - przedstawił przybyłych.

Pete wstał i wymienił z Lesem Sibley uścisk dłoni.

- Witam, panie Garden - powiedział Les Sibley z szacunkiem, z jakim P-ujemni zwykli się zwracać do P-dodatnich. Gdzie pan rezyduje?

- W Berkeley - odparł Pete. Potem zreflektował się. - Dawniej w Berkeley, teraz w hrabstwie Marin w Kalifornii.

- Dzień do-obry - zaświergotała słodko Es Sibley tonem, który zawsze wzbudzał odrazę Pete'a. Wyciągnęła do Pete'a pulchną wilgotną dłoń. - Na pewno ma pan wspaniałą kolekcję; nasza nie dorasta jej do pięt. Ot, parę płyt Supervii.

- Supervii! - zainteresował się Pete. - Co państwo macie?

- Nie wolno im się ich pozbyć, Pete - wtrącił się Schilling. - Istnieje niepisana umowa, że moi klienci nie wymieniają płyt między sobą. Kto się wyłamie, przestaje być moim klientem. Zresztą, masz wszystkie płyty Supervii z kolekcji Lesa i Es i na dodatek parę innych. - Wklepał w kasę sto dwadzieścia pięć dolarów za płytę Gigliego i wysoki, chuderlawy młodzieniec wyszedł.

- Kogo uważa pan za wokalistę wszech czasów? - zagadnęła Pete'a Es Sibley.

- Aksela Schnitza w *Every Valley* - odparł Pete.

- Amen - poparł go Les.

Po wyjściu Sibleyów Pete zapłacił za płytę Schipy, dopilnował, by Joe zapakował ją bardzo starannie, wreszcie - nabrał głębiej powietrza i przystąpił do sedna.

- Joe, czy potrafiłbyś odbić dla mnie Berkeley?

Gdyby Joe powiedział „tak", uwierzyłby mu bez zastrzeżeń.

- Być może - odparł Joe po chwili namysłu. - Jeśli ktoś dałby radę, to tylko ja. Istnieje - rzadko stosowana - zasada, że dwie osoby tej samej płci mogą grać jako partnerzy w Blefie. Zobaczylibyśmy, co Luckman na to; w razie czego dalibyśmy sprawę do rozstrzygnięcia intendentowi wugów na rejon Berkeley.

- To taki wug, który przedstawia się jako U.S. Cummings - uzupełnił Pete. Miał z nim parę starć, na skutek których doszedł do wniosku, że ma do czynienia ze stworem szczególnie upierdliwym.

- Alternatywą - zaczął z namysłem Joe Schilling - byłoby przejściowe przepisanie któregoś z twoich aktów własności na mnie, ale. jak już wspomniałem wcześniej...

- Nie wyszedłeś z wprawy? - spytał Pete. - Nie grasz od lat...

- Niewykluczone - zgodził się Schilling. - Wkrótce się przekonamy, oby w porę. Moim zdaniem... - Przeniósł wzrok na chodnik przed sklepem, gdzie parkowało się auto. Z wozu wysiadła klientka.

Dziewczyna, czarujący rudzielec, sprawiła, że Pete i Joe na chwilę zapomnieli o swojej rozmowie. Wyraźnie zagubiona w brudnym, zabałaganionym sklepie, wędrowała od półki do półki bez celu.

- Pójdę jej chyba pomóc - oznajmił Joe.

- Znasz ją? - zapytał Pete.

- Pierwszy raz ją widzę. - Wyprostował zmięty, staroświecki krawat, wygładził marynarkę. - Czy mogę panience pomóc? - zagadnął z uśmiechem.

- Być może - odparła rudowłosa cichym, nieśmiałym głosikiem. Była wyraźnie skrępowana. Patrząc po sobie tak, by nie spotkać napalonych oczu Schillinga, wyjąkała: - Czy ma pan jakieś płyty Natsa Katza?

- A niech mnie ręka boska broni! Popsuła mi cały dzień! - poskarżył się Pete'owi. - Wchodzi ładna dziewczyna do mojego sklepu i prosi o Natsa Katza! - Zdruzgotany, wycofał się na zaplecze.

- Kto to jest Nats Katz?

- Nie słyszał pan o Natsie Katzu? - Ewidentnie nie mogła w to uwierzyć. - Występuje w telewizji co wieczór. Na rynku płytowym jest gwiazdą wszech czasów!

- Pan Schilling nie sprzedaje popu. Pan Schilling sprzedaje wyłącznie klasykę. - Pete uśmiechnął się do dziewczyny. Usunięcie gruczołu Hynesa utrudniało ocenę wieku, jednak ruda zdawała się bardzo młoda, miała najwyżej dziewiętnaście lat. - Proszę wybaczyć panu Schillingowi jego reakcję. Ma swój wiek i swoje przyzwyczajenia.

- Już dobrze - odchrząknął Schilling. - Po prostu nie lubię tych współczesnych wyjców.

- Wszyscy znają Natsa. - Była wciąż urażona. - Nawet mama i tato, choć są skończonymi fnulami. Ostatnia płyta Natsa, *Spacerek z psem*, sprzedała się w pięciu tysiącach egzemplarzy. Dziwię się wam. Straszne z was zgredy. Coś okropnego. - Nagle wróciła jej dawna nieśmiałość. - To ja już chyba pójdę. Do zobaczenia.

Ruszyła w stronę drzwi.

- Czekaj - powiedział Schilling zmienionym głosem. Dogonił ją. - Ja cię chyba znam. Mogłem widzieć twój portret w wiadomościach telegraficznych?

- Możliwe - potaknęła.

- Jesteś Mary Anne McClain. - Odwrócił się do Pete'a. - Trzecie dziecko kobiety, którą dzisiaj spotkałeś. Jej wizyta to synchroniczność. Przypominasz sobie teorię bezprzyczynowej zasady łączącej Junga i Wolfganga Pauli? Ten pan jest Posiadaczem twojego miasta, Mary Anne - zwrócił się do dziewczyny. - Poznaj Petera Gardena.

- Miło mi. - Nie zrobili na niej wrażenia. - Cóż, na mnie pora.

Przeszła przez próg i skierowała się do samochodu; Pete i Joe patrzyli za nią, póki samochód nie wzbił się i zniknął w oddali.

- Jak myślisz, ile może mieć lat?

- Wiem, ile ma lat, czytałem o niej kiedyś. Osiemnaście. Jedna z dwudziestu dziewięciu studentów stanowego college'u w San Francisco. Studiuje historię. Jest pierwszym dzieckiem urodzonym w San Francisco od stu lat. Niech Bóg broni, by miało jej się coś złego przytrafić. Jakiś wypadek czy choroba - dorzucił chmurnie.

Umilkli obaj.

- Trochę mi przypomina matkę - podjął Pete.

Joe spojrzał na niego z ukosa.

- Jest nieziemsko pociągająca. Zgaduję, że zmieniłeś plany i chcesz ją wystawić zamiast mnie.

- Nie miała raczej okazji brać udziału w Grze.

- Co w związku z tym?

- Nie byłaby dobrym partnerem w Blefie.

- Z pewnością. Nie umywa się do mnie. Zawsze o tym pamiętaj. Co z twoim stanem cywilnym?

- Rozeszliśmy się z Freyą po utracie Berkeley. Teraz jest panią Gaines, a ja szukam żony.

- Musisz mieć żonę, która też gra. Żonę na miarę Posiadacza. Inaczej stracisz hrabstwo Marin tak, jak straciłeś Berkeley. Co wtedy poczniesz? Świat nie potrzebuje dwóch antykwariatów z niepowtarzalnymi płytami.

- Od lat zastanawiam się, co bym robił, gdyby zmiotło mnie z planszy. Sądzę, że zostałbym farmerem.

Joe ryknął śmiechem.

- Naprawdę?! Daj słowo, że nie żartujesz.

- Nie żartuję.

- Gdzie?

- W dolinie Sacramento. Miałbym winnicę. Robiłem już wstępny rekonesans. - Faktycznie, rozmawiał o tym z intendentem wugów, U.S. Cummingsem; tytański urzędnik obiecał pomoc w zdobyciu sprzętu i wiórów. Wugi z zasady popierały tego rodzaju inicjatywy.

- Na Boga - zdumiał się Schilling - ty chyba wierzysz w to, co mówisz.

- Od ciebie będę brał więcej, bo nieźle nabiłeś kabzę. kantując melomanów przez te wszystkie lata.

- *Ich bin ein armer Mensch* - zaprotestował Schilling. - Jestem nędzarzem.

- No to wymiana handlowa. Wino za białe kruki płytowe.

- Mówię serio, jeśli Luckman wejdzie do twojej grupy i będzie grał przeciw tobie, wkroczę do Gry jako twój partner. - Poklepał Pete'a uspokajająco po ramieniu. - Nie bój się. Weźmiemy go w dwa ognie. Oczywiście zakładam, że póki grasz, nie będziesz pił. - Obciął Pete'a uważnym spojrzeniem. - Doszły mnie słuchy, że byłeś schlany na umór, kiedy wystawiłeś i przegrałeś Berkeley. Po wszystkim ledwie dotoczyłeś się z kondominium do samochodu.

- Wypiłem po przegranej - sprostował Pete z godnością. - Na otarcie łez.

- Tak czy owak, mój ukaz obowiązuje nadal. Odkąd zostaniemy partnerami - koniec picia, pod przysięgą. Dotyczy to również prochów. Nie chcę, żebyś miał umysł przytępiony barbiturantami, zwłaszcza z grupy fenotiazyn... są na mojej czarnej liście, a wiem, że regularnie je bierzesz.

Pete nie odpowiadał; było tak, jak Joe mówił. Wzruszył ramionami i zaczął przechadzać się po sklepie, zatrzymując od czasu do czasu, by pogrzebać w stertach płyt. Jego entuzjazm przygasł.

- Będę ćwiczył - podjął Joe. - Będę trenował gorliwie, aż dojdę do szczytowej formy. - Nalał sobie kolejną filiżankę herbaty.

- Może skończę jako pijak - oznajmił Pete. Przy średniej długości życia ponad dwustu lat, ta perspektywa wydała mu się... cokolwiek upiorna.

- Nie obawiałbym się tego. Jak na alkoholika jesteś zbytnim ponurakiem. Bałbym się raczej... - Schilling zawahał się.

- Mów śmiało.

- Samobójstwa.

Pete uważnie studiował nalepkę staroświeckiej płyty His Master Voice, którą wysunął ze stojaka. Unikał wzroku Schillinga, jego mądrych, nieulękłych oczu.

- Chciałbyś być znowu z Freyą?

- Nie. - Machnął ręką. - Nie umiem tego wytłumaczyć, na rozum byliśmy dobraną parą. Ale nie szło nam w jakiś nieuchwytny sposób. Przypuszczam, że właśnie dlatego przegrałem; nigdy nie funkcjonowaliśmy dobrze jako tandem. - Przypomniał sobie swoją poprzednią żonę, Janice Marks, obecną Janice Remington. Dobrze współpracowali; tak mu się przynajmniej wydawało. Niemniej szczęście im nie dopisało.

Pete Garden zresztą nigdy nie miał szczęścia; na całym Bożym świecie nie miał żadnego potomka. Przeklęte Czerwone Żółtki... zaklął, jak zawsze z goryczą. A jednak...

- Schilling - spytał - masz jakąś progeniturę?

- Owszem. Myślałem, że wszyscy wiedzą. Mam jedenastoletniego syna na Florydzie. Jego matka była moją... - na chwilę pogrążył się w obliczeniach - moją szesnastą żoną. Potem, do chwili, kiedy mnie Luckman wykończył, zdążyłem mieć tylko dwie żony.

- Jaką dokładnie progeniturę ma Luckman? Mówi się o dziewiątce czy dziesiątce?

- Na dziś dzień coś koło jedenastki.

- Jezu!

- Spójrzmy prawdzie w oczy. Luckman pod każdym względem jest najwspanialszym, najwartościowszym okazem człowieka, jaki nosi nasza planeta. Najczystszej krwi progenitura, mistrzostwo w Blefie, poprawił warunki życia P-ujemnych w swoim rejonie.

- Już dobra - uciął Pete rozdrażniony.

- Do tego cieszy się sympatią wugów - ciągnął Schilling, nie zwracając na niego uwagi. - W gruncie rzeczy cieszy się powszechną sympatią. Nigdy go nie widziałeś?

- Nie.

- Kiedy przyjedzie na Zachodnie Wybrzeże dołączyć do Błękitnawego Lisa, sam się przekonasz.

- Cieszę się, że pan tu przyszedł - Luckman entuzjastycznie powitał przewidzą Davida Mutreaux.

Był zadowolony. Pojawienie się przewidzą potwierdzało realność jego talentu. Było, de facto... argumentem za użyciem Mutreaux.

Szczupły, wysoki, dobrze ubrany psionik w średnim wieku - prywatnie niezależny Posiadacz niższego stopnia, właściciel praw do nędznego hrabstewka w zachodnim Kansas - rozsiadł się niedbale w głębokim fotelu po drugiej stronie biurka Luckmana.

- Musimy zachować ostrożność, panie Luckman - wycedził. - Najwyższą ostrożność. Dotąd musiałem się szalenie pilnować, aby ukryć mój talent przed ludzkim okiem. Potrafię przewidzieć pańskie życzenia pod moim adresem; przewidziałem nasze spotkanie w samochodzie, lecąc tutaj. Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że człowiek o pańskim szczęściu i pozycji planuje mnie zatrudnić.

Na wargi przewidza wypełzł pogardliwy uśmieszek.

- Obawiam się, że kiedy gracze na Wybrzeżu zobaczą, jak się dosiadam do planszy, nie będą chcieli grać - powiedział Luckman. - Zmówią się przeciwko mnie i pochowają wartościowsze akty w sejfach, zamiast wyłożyć je na stół. Rozumie pan, Davidzie, wcale nie muszą się orientować, że to ja posiadam Berkeley, ponieważ ja...

- Wiedzą - odparł Mutreaux, nie przestając uśmiechać się z lekceważeniem.

- O.

- Plotka już krąży, sam ją słyszałem w programie tego popularnego piosenkarza, tego, no, Natsa Katza. To wielka nowina, że się panu udało wkupić w Zachodnie Wybrzeże, Luckman. Naprawdę wielka nowina. Sam słyszałem, co powiedział Nats: „Tam, gdzie się dymi, szukajcie Lucky'ego Luckmana".

- Hmm - mruknął Luckman zbity z tropu.

- Powiem panu coś jeszcze - dodał przewidz. Splótłszy ręce na piersiach, zsunął się niżej w fotelu, krzyżując przed sobą długie nogi. - Potrafię przewidzieć rozkład możliwych wieczorów przy planszy. Podczas niektórych w Carmel, w Kalifornii, to ja zasiadam do Gry z gośćmi z Błękitnawego Lisa, podczas innych - pan. A po kilku prawdopodobnych wieczorach - zachichotał - ci goście sprowadzają aparaturę do EEG. Niech mnie pan nie pyta, czemu. Zwykle nie mają takiej na składzie, więc muszą coś podejrzewać.

- To pech - skwitował markotnie Luckman.

- Wie pan, co mnie czeka, jeśli pojadę tam. Zrobią mi EEG i odkryją, że jestem psionikiem. Stracę wszystkie posiadłości. Rozumie pan, do czego zmierzam, Luckman? Czy jest pan gotów powetować mi moje straty?

- Naturalnie - odparł Luckman. Jednak myślał o czymś innym; jeśli poddadzą Mutreaux EEG, karnie pozbawią go praw do Berkeley, kto jemu to powetuje? Może powinienem sam lecieć, a nie wysyłać Mutreaux, przemknęło mu przez myśl. Jednak jakiś pierwotny instynkt, jakiś prawie psioniczny głos mówił mu, by nie jechał. Trzymaj się z dala od Zachodniego Wybrzeża, mówił głos. Nie ruszaj się stąd!

Czemu właściwie czuł tak zabobonny lęk przed opuszczaniem Nowego Jorku? Czy był to tylko stary przesąd, że Posiadacz powinien trzymać się swojej posiadłości, czy coś więcej?

- Mimo wszystko wyślę pana, Dave, i zaryzykuję EEG - oznajmił.

- Ale ja, panie Luckman, ani myślę jechać i narażać się - wycedził Mutreaux. Wstał, niezdarnie rozplatając kończyny. - Obawiam się, że będzie pan musiał jechać osobiście - dodał, robiąc słodkie oczy do Luckmana.

Niech to szlag, pomyślał Luckman. Posiadacze spłachetka ziemi to dumny naród, trudno przemówić im do rozumu.

- Jadąc, nie ma pan nic do stracenia - podjął Mutreaux. - Na tyle, na ile jestem w stanie przewidzieć, Błękitnawy Lis będzie grał z panem i na razie wygląda na to, że szczęście nie opuści pana. Już pierwszego wieczoru widzę, jak wygrywa pan drugi akt własności na terenie Kalifornii. Tę przepowiednię dostaje pan ode mnie gratis. Nic pan nie płaci. - Musnął czoło w kpiącym salucie.

- Dzięki - warknął Luckman. Nie ma za co, dorzucił w myślach. Drążył go dotkliwy, ćmiący lęk, czuł irracjonalną awersję do całej wyprawy. Rany boskie, wpadłem. Wyłożyłem tyle kasy na Berkeley. Muszę jechać. Moje lęki nie mają logicznych podstaw.

Jeden z jego kotów, rudy kocur, zakończył toaletę i gapił się na Luckmana z idiotycznie wywieszonym jęzorem. Wezmę cię ze sobą, zdecydował Luckman, będzie mnie chronić twoja magia. Magia - jak chciał zabobon - dziewięciu, a może i dziesięciu żyć?

- Schowaj ten *geschlumer* jęzor - ofuknął kota. Irytowała go kocia obojętność wobec fatum, wobec rzeczywistości.

- Miło było pana zobaczyć, kolego Posiadaczu, może kiedyś się panu przydam - powiedział Dave Mutreaux, wyciągając dłoń. - Zwijam się do Kansas. - Spojrzał na zegarek. - Robi się późno; pora siadać do planszy.

- Czy myśli pan, że mógłbym zaraz siąść do gry z Błękitnawym Lisem? Dziś wieczór?

- Czemu nie?

- Wgląd w przyszłość daje panu chyba cholernie dużo pewności siebie - poskarżył się Luckman.

- Przydaje się - zgodził się Mutreaux.

- Przydałby mi się w tej podróży - powiedział Luckman i pomyślał: mam dość bycia niewolnikiem własnych przesądów, nie potrzebuję ochrony sił Psi, jestem ponad to.

Do gabinetu wkroczył Sid Mosk.

- Jedzie pan? - spytał, wodząc wzrokiem od Luckmana do Mutreaux i z powrotem.

- Jadę - potwierdził Luckman. - Spakuj rzeczy i wrzuć do auta; zanim siądę do Gry, zamierzam założyć tymczasową rezydencję w Berkeley. Dla wygody, żeby poczuć się jednym z nich.

- Tak jest. - Sid Mosk zanotował polecenie.

Kładąc się dziś do łóżka, pomyślał Luckman, będę już po rozgrywkach z Błękitnawym Lisem, w pewnym sensie na progu nowego życia... Ciekawe, co mi ono przyniesie?

Znów rozpaczliwie zapragnął posiąść talent Dave'a Mutreaux.

5

W eleganckim apartamencie w Carmel, wspólnej własności grupy blefujących Posiadaczy - grupy Błękitnawy Lis, pani Freya Gaines rozsiadła się wygodnie, choć nie za blisko męża, Clema. Obserwowała kolejnych przybyłych.

- Witam - rzucił Cieniowi i Freyi zaczepnie Bill Calumine, wkraczając przez otwarte drzwi w krawacie i jednej ze swoich krzykliwych koszul. Jego żona i partnerka w Blefie, Arlene, szła za nim z zatroskanym wyrazem lekko podniszczonej twarzy. Arlene skorzystała z operacji gruczołu Hynesa w nieco późniejszym wieku niż pozostali.

- Sie macie - pozdrowił ich ponuro Walt Remington. wodząc rozbieganym wzrokiem po zebranych. Towarzyszyła mu żona, Janice, czujna, o przenikliwym spojrzeniu. - Domyślam się, że mamy nowego uczestnika - powiedział niepewnym, zażenowanym głosem. Drżącymi rękami zdjął płaszcz i rzucił na oparcie fotela; wyglądał jak uosobienie winy.

- Tak jest - odparła Freya. Dobrze wiesz czemu, dodała w myślach.

W polu widzenia pojawił się złotowłosy beniaminek grupy, Stuart Marks, a z nim wysoka, męska i stanowcza żona Yule w czarnej zamszowej kurtce i dżinsach.

- Oglądałem Natsa Katza - zaczął - Mówi, że...

- I dobrze mówi - uciął Clem Gaines. - Szczęściarz Luckman zjechał już na Zachodnie Wybrzeże i urządza nową rezydencję w Berkeley.

Z whisky w papierowej torebce, śląc na lewo i prawo szerokie uśmiechy, wparował Silvanus Angst - jak zawsze w wyśmienitym humorze. Tuż za nim sunął śniady Jack Blau, z błyskiem ciemnych oczu lustrując zebranych; bez słowa skinął energicznie głową na powitanie.

- Może cię to zainteresuje... - zwróciła się od progu do Freyi jego żona Jean. Zajęliśmy się nową żoną dla Pete'a. Przez bite dwie godziny konferowaliśmy dzisiaj z SuperChochołem.

- Z jakim skutkiem? - spytała, siląc się na obojętność.

- Pozytywnym. Z SuperChochoła przybędzie tu niejaka Carol Holt. Powinna się zjawić lada chwila.

- Jaka jest? - spytała Freya. Chciała się przygotować z góry.

- Inteligentna.

- To znaczy, jak wygląda?

- Szatynka. Drobna. Trudno mi coś powiedzieć. Za chwilę sama się przekonasz.

Jean spojrzała w stronę drzwi. W progu, przysłuchując się ich rozmowie, stał Pete Garden.

- Cześć - powitała go Freya. - Znaleźli ci żonę.

- Dzięki - zwrócił się szorstko do Jean.

- No przecież musisz mieć partnera do gry - zaczęła się tłumaczyć.

- Nie mam pretensji - oświadczył Pete. Podobnie jak Silvanus Angst niósł butelczynę w papierowej torbie; postawił ją na kredensie obok butelki Angsta i zdjął płaszcz. - Powiem wręcz - jestem zadowolony.

- Źródłem zmartwień Pete'a jest facet, który położył łapę na akcie własności Berkeley, dobrze mówię, Pete? - zarechotał Angst. - Mówi się, że to Szczęściarz Luckman. - Mały, pulchny Angst poczłapał koślawo w stronę Freyi. - Też się martwisz? - spytał, gładząc ją po głowie.

- Naturalnie. To przecież okropne - odparła, metodycznie wyplątując jego palce z włosów.

- Owszem - poparła ją Jean Blau. - Porozmawiajmy lepiej, zanim pojawi się tu Luckman. Na pewno da się coś zrobić.

- Odmówić mu miejsca przy planszy? - zaproponował Angst. - Odmówić grania przeciwko niemu?

- Nie powinniśmy wystawiać ważniejszych posiadłości. I tak niedobrze, że ma przyczółek w Kalifornii; jeśli wygra znów...

- Nie wolno nam do tego dopuścić - zgodził się Jack Blau. Spojrzał na Walta Remingtona. - Jak mogłeś? Powinniśmy cię wyrzucić. W dodatku jesteś takim osłem, że pewnie nawet nie wiesz, co narobiłeś.

- Dobrze wie - wtrącił Bill Calumine. - Nie miał takiego zamiaru; sprzedał pośrednikom, a oni od razu...

- To nie jest usprawiedliwienie - orzekł Jack Blau.

- Jedyne, co możemy zrobić - oświadczył Bill Gaines - to zażądać, by zrobił sobie EEG. Pozwoliłem sobie przywieźć aparaturę. To go może zdyskwalifikować. Musimy go jakoś zdyskwalifikować.

- Może powinniśmy skontaktować się z U.S. Cummingsem i sprawdzić, czy ma jakiś pomysł - zaproponowała Jean Blau. - Wiem, że są przeciwni temu, żeby jedna osoba zdominowała oba wybrzeża; byli niezadowoleni, kiedy Luckman wykolegował Joe Schillinga z Nowego Jorku, pamiętam jak dziś.

- Wolałbym nie zwracać się do wugów - skrzywił się Calumine. Rozejrzał się po grupie. - Są jeszcze jakieś pomysły? No. mówcie.

Zażenowani milczeli.

- Nie wygłupiajcie się - odezwał się Stuart Marks. - Czy nie moglibyśmy po prostu... - Machnął ręką. - No, wiecie. Przestraszyć go fizycznie. Jest nas tu sześciu chłopa na jednego.

- Jestem za tym - odezwał się po chwili milczenia Bill Calumine. - Łagodna przemoc. Przynajmniej moglibyśmy połączyć siły przeciwko niemu w Grze. A jeśli...

Przerwał. Ktoś stanął w progu.

- Kochani, oto nowy Gracz, który przybywa do nas z SuperChochoła, Carol Holt - oznajmiła, wstając, Jean Blau. Wzięła przybyłą pod rękę i wprowadziła do środka. - Carol, to są Freya i Clem Gaines, Jean i Jack Blau, Silvanus Angst, Walter i Janice Remington, Stuart Marks, Yule Marks i twój partner w Blefie - Pete Garden. Pete, poznaj Carol Holt; dwie godziny zajęło nam wybranie jej dla ciebie.

- A ja jestem żoną Silvanusa Angsta - pani Angst wkroczyła do pokoju za Carol. - Boże, co za podniecający wieczór. Rozumiem, że mamy dwójkę nowych Graczy.

Freya przyglądała się Carol Holt, próbując odgadnąć reakcję Pete'a. Nie dał niczego poznać po sobie, przywitał przybyłą uprzejmie, lecz oficjalnie. Wydawał się nieobecny. Możliwe, że nie doszedł jeszcze do siebie po wczorajszym wstrząsie. Tak jak ona.

Dziewczyna z SuperChochoła nie wygląda na szczególnie bystrą, skonstatowała Freya. A jednak czuło się w niej indywidualny styl; włosy zgrabnie upięte w modne szczurze gniazdo, oczy podmalowane starannie. Miała na sobie pantofle na niskim obcasie, nie nosiła pończoch, a kopertowa spódnica z madrasu dodawała jej, w oczach Freyi, kilka zbędnych centymetrów w talii. Miała przy tym ładną, jasną cerę i dość przyjemny głos.

Jednak, podsumowała Freya, Pete'owi nie spodoba się, po prostu nie jest w jego typie. A kto jest w typie Pete'a? Ona? Nie, ona również nie była w jego guście. Ich związek był jednostronny - tylko ona doznawała głębokich uczuć, podczas gdy Pete był wyłącznie ponury, jakby w niejasny sposób antycypował klęskę, która położy kres ich małżeństwu - utratę Berkeley.

- Pete - przypomniała - musisz jeszcze wykręcić trójkę.

- Podaj mi koło, zaraz się biorę do roboty. Ile mam obrotów? - zwrócił się do Billa Calumine'a, obrotowego grupy.

W tego rodzaju sytuacjach obowiązywały zawiłe przepisy, więc Jack Blau poszedł po księgę Reguł Gry.

Bill Calumine i Jack Blau zadecydowali wspólnie, że tego wieczoru Pete'owi przysługuje sześć obrotów.

- Nie wiedziałam, że jeszcze nie wykręcił trójki - odezwała się Carol. - Mam nadzieję, że nie przyjechałam tu po nic. - Przysiadła na oparciu fotela, wygładzając spódnicę na kolanach - niezłych, krągłych kolanach, co nie uszło uwagi Freyi - i ze znudzoną miną zapaliła papierosa.

Pete usiadł przy kole i zakręcił. Pierwsza wypadła dziewiątka.

- Robię, co mogę - zwrócił się do Carol. W jego głosie brzmiała nuta niechęci. Jego nowy związek, zauważyła Freya, startował dokładnie tak jak poprzednie. Uśmiechnęła się pod nosem. Cała sytuacja wydała jej się dosyć zabawna.

Z kwaśną miną Pete zakręcił ponownie. Tym razem wypadła dziesiątka.

- I tak nie możemy jeszcze siąść do Gry - zauważyła promiennym głosem Janice Remington. - Musimy zaczekać, aż dotrze tutaj pan Luckman.

Carol Holt gwałtownie wypuściła dym nosem.

- Rany boskie, Szczęściarz Luckman jest członkiem Błękitnawego Lisa? Nikt mi nie mówił! - Posłała Jean Blau krótkie, nerwowe spojrzenie.

- Jest - powiedział znad koła Pete. Sztywno wstał z miejsca.

- Faktycznie, jest. Najprawdziwsza trójka - stwierdził, przyglądając się z bliska Bill Calumine. Zdjął ze stołu koło, było już po wszystkim. - Jeszcze tylko ślub i kiedy zjawi się pan Luckman. będziemy mogli zaczynać.

- W tym tygodniu ja udzielam ślubów, Bill - zgłosiła Patience Angst. - Poprowadzę ceremonię. - Wyjęła pierścień grupy i podała Pete'owi Gardenowi. Pete stanął przy Carol Holt, która nadal nie ochłonęła po wiadomości o Szczęściarzu Luckmanie. - Carol i Peter, zebraliśmy się tu, by być świadkami waszego wstąpienia w święty stan małżeński. Ziemskie i tytańskie prawo nakazuje mi spytać, czy dobrowolnie zawieracie ów święty i prawomocny związek? Czy ty, Peterze. bierzesz Carol za prawowitą małżonkę?

- Tak - odparł Pete ponuro, tak przynajmniej zabrzmiało to w uszach Freyi.

- A ty, Carol... - Patience Angst urwała, ponieważ w drzwiach apartamentu stanął nowy przybysz. Przyglądał się w milczeniu.

Przybył Szczęściarz Luckman, triumfator z Nowego Jorku, król Posiadaczy na Zachodzie. Jak na komendę cały pokój zwrócił się w jego stronę.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedział Luckman, nie ruszając się z miejsca.

Patience półgłosem doprowadziła ceremonię do końca.

A więc tak wygląda niezrównany Szczęściarz Luckman, skonstatowała Freya. Umięśniony, solidnie zbudowany mężczyzna z twarzą krągłą jak jabłko. Blada karnacja i słomkowe włosy przywodziły na myśl warzywo hodowane bez dostępu światła. Między cienkimi, wątłymi włoskami świeciła różowa skóra czaszki. Przynajmniej wygląda schludnie i czysto, podsumowała Freya. Jego garderoba, nie rzucająca się w oczy krojem ani materiałem, świadczyła o dobrym guście. Za to dłonie... przyłapała się na tym, że patrzy w nie jak zahipnotyzowana. Nadgarstki Luckmana były grube, porośnięte, jak głowa, bladą sierścią. Dłonie miał małe, palce krótkie, u nasady pokryte plamami wątrobianymi czy może tylko piegowate. Jego głos był słaby i nienaturalnie wysoki. Nie spodobał jej się. Było w nim coś zakłamanego, jakieś ochwacenie, przypominał księdza, któremu odebrano święcenia i sukienkę duchowną. Będąc twardzielem, wyglądał na mięczaka.

Co gorsza, nie uzgodniliśmy przeciw niemu żadnej taktyki, uprzytomniła sobie Freya. Nie wiemy, jak wspólnie zadziałać, a teraz już jest za późno.

Ciekawa jestem, ilu z nas będzie w tym pokoju za tydzień.

Musimy znaleźć jakiś sposób, by go powstrzymać, pomyślała.

- A to moja żona, Dotty - Jerome Luckman przedstawił grupie rozłożystą, kruczowłosą kobietę o urodzie Włoszki, która uśmiechała się mile do zebranych. Pete Garden ledwie zwrócił na nią uwagę. Niech już wniosą tę aparaturę EEG. Podszedł do Billa Calumine'a i przykucnął przy nim.

- Czas na EEG - powiedział cicho. - Powinniśmy zaczynać.

- Tak. - Calumine podniósł się i zniknął w towarzystwie Clema Gainesa w drugim pokoju. Wrócił, ciągnąc za sobą aparaturę Croftsa-Harrisona, jajo na kółkach pokryte plątaniną czujników i rzędami połyskliwych liczników. Urządzenie od dawna stało bezczynnie; skład grupy nie zmieniał się. Jak dotąd.

Teraz jednak wszystko się zmienia, pomyślał Pete; mamy dwóch nowych członków: jeden jest nieznany, drugi jest zawziętym wrogiem, którego należy pokonać za wszelką cenę. Ta walka była jego osobistą walką, toczyła się o jego akt własności. Luckman, który okopał się w Claremont Hotel w Berkeley, rezydował w posiadłości Pete'a. Trudno o większe pogwałcenie intymności. Patrzył uporczywie na niskiego, jasnowłosego króla Posiadaczy Wschodniego Wybrzeża, aż Luckman zmierzył się z nim spojrzeniem. Żaden z mężczyzn nie odezwał się; słowa nie zdałyby się tutaj na nic.

- EEG. - Luckman zidentyfikował urządzenie. Dziwny grymas wykrzywił na chwilę rysy jego twarzy. Spojrzał na żonę. - Czemu nie? Chyba nie mamy nic przeciwko temu? - Wyciągnął rękę do Calumine'a, który docisnął starannie pasek z anodą. - Nie znajdziecie u mnie żadnych zdolności Psi - dodał, gdy umieszczano mu na czole końcówkę katody. Nie przestawał się uśmiechać.

Urządzenie Croftsa-Harrisona wypluło zwitek zadrukowanej taśmy. Bill Calumine, jako oficjalny obrotowy grupy, przeczytał wydruk pierwszy, następnie podsunął go Pete'owi. Nachylili się nad taśmą, naradzając bez słów.

Brak aktywności Psi w obrębie głowy, stwierdził Pete, przynajmniej w danej chwili. Mogła pojawiać się i znikać, co często się zdarzało. Tak czy owak, nie mogli na tej podstawie zdyskwalifikować cholernego Luckmana. Niech to diabli, pomyślał, oddając wydruk Calumine'owi, który z kolei podał go do Stu Marksa i Silvanusa Angsta.

- Czy jestem wolny od zarzutów? - spytał pogodnie Luckman. Wydawał się całkiem spokojny, zresztą, czemu by nie miał być. To oni mieli powody do zmartwień, nie on. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Panie Luckman - zwrócił się do niego ochryple Remington - jestem osobiście odpowiedzialny za to, że miał pan szansę wkręcić się do Błękitnawego Lisa.

- O, Remington. - Luckman wyciągnął w stronę Walta dłoń, lecz ten zignorował go. - Proszę nie robić sobie wyrzutów; jakaś okazja trafiłaby się prędzej czy później.

- Tak jest, panie Remington - włączyła się Dotty Luckman. - Proszę nie mieć do siebie żalu. Nie ma grupy, do której mój mąż nie potrafiłby się dostać. - Jej oczy zalśniły dumą.

- Macie mnie za jakiegoś potwora? - nastroszył się Luckman. - Gram fair; nikt dotąd nie zarzucał mi oszustwa. Gram, tak jak wy, żeby wygrać. - Powiódł wzrokiem po zgromadzonych, czekając na odpowiedź. Jednak nie czuło się w nim wzburzenia; zareagował tylko pro forma. Wyraźnie nie oczekiwał zmiany ich nastrojów, być może nawet jej nie pragnął.

- W naszym odczuciu, panie Luckman, ma pan i tak więcej, niż się panu należy - odezwał się Pete. - Gra nie została wymyślona jako pretekst do zdobycia monopolu gospodarczego i pan o tym wie. - Umilkł, gdyż trafił w sedno. Reszta grupy potakująco kiwała głowami.

- Powiem panu coś - odparł Luckman. - Lubię, kiedy wszyscy wokół mnie są zadowoleni. Skąd taka podejrzliwość, skąd ten grobowy nastrój? Może po prostu nie macie zaufania do własnych możliwości? Tak, to może być to. Co byście jednak powiedzieli na taki pomysł: za każdą posiadłość w Kalifornii, którą wygram... - umilkł, sycąc się ich napięciem - ...przekażę grupie prawa własności do miasta w jakimś innym stanie. Tak więc, bez względu na to, co się wydarzy, każdy z was pozostanie Posiadaczem... jeśli nie tu, na Wybrzeżu, to gdzieś indziej. - Uśmiechnął się, odsłaniając zęby - zdaniem Pete'a zbyt regularne, by mogły być dziełem natury.

- Dzięki - odparła chłodno Freya.

Reszta milczała.

Czy miała to być zniewaga, zastanawiał się Pete? Czyżby Luckman miał dobre chęci, ale w dziedzinie ludzkich uczuć był aż tak naiwny i gruboskórny?

Drzwi otwarły się i do pokoju wkroczył wug.

Pete rozpoznał rejonowego intendenta, U.S. Cummingsa. Czego mógł chcieć? Czyżby Tytańczycy wiedzieli o przylocie Luckmana na Zachodnie Wybrzeże? Wug po swojemu powitał zebranych.

- Czego chcesz? - spytał kwaśno Bill Calumine. - Właśnie siadaliśmy do Gry.

- Przepraszam za najście - dotarły do nich myśli wuga. - Panie Luckman, jaki jest powód pańskiej obecności tutaj? Proszę pokazać dokument uprawniający do uczestnictwa w grupie.

- Po co te wygłupy? Dobrze wiecie, że mam akt własności. - Sięgnął do palta po wielką kopertę. - To ma być kawał?

Wysunąwszy nibynóżki, wug sprawdził dokument, po czym oddał go Luckmanowi.

- Nie powiadomił nas pan o dołączeniu do grupy.

- Bo nie muszę. Nie mam takiego obowiązku.

- Ale protokół tego wymaga - oświadczył U.S. Cummings. - Jakie są pańskie zamiary wobec Błękitnawego Lisa?

- Zamierzam wygrać.

Zdawało się, że wug przygląda się mu z uwagą. Zapadła dłuższa cisza.

- Mam do tego całkowite prawo - dodał Luckman nieco nerwowo. - W tym przypadku nie przysługują wam żadne sankcje. Nie rządzicie nami, że przypomnę konkordat z 2095 podpisany przez waszą generalicję i ONZ. Wolno wam najwyżej doradzać i pomóc, jeśli zwrócimy się o pomoc. Nie słyszałem, by ktoś w tym pokoju prosił was o pomoc. - Powiódł wzrokiem po grupie, oczekując aprobaty.

- Damy sobie radę - zwrócił się do wuga Bill Calumine.

- Tak jest - poparł go Stuart Marks. - Możesz spływać, wugasie. No, jazda. - Ruszył po wugobij, oparty o ścianę w kącie pokoju.

U.S. Cummings ulotnił się, nie emitując dalszych myśli.

- Siadajmy do gry - zarządził Jack Blau.

- Tak jest - poparł go Bill Calumine. Wyjął kluczyk i podszedł do szafki; w chwilę później rozkładał wielką planszę na stojącym na środku pokoju stole. Reszta dosunęła krzesła, moszcząc się wygodnie i naradzając, kto z kim chce siedzieć.

Carol Holt podeszła do Pete'a.

- Z początku pewnie nie za dobrze będzie nam szło, panie Garden. Nie poznaliśmy jeszcze nawzajem naszych stylów gry.

To chyba stosowna chwila, by powiedzieć jej o Joe Schillingu, uznał Pete.

- Jest mi bardzo przykro - zwrócił się do Carol - ale niewykluczone, że nie będziemy długo partnerami.

- Tak? Dlaczego? - Spojrzała na niego uważnie.

- Szczerze mówiąc, bardziej zależy mi na odzyskaniu Berkeley niż na tym całym, jak się to mówi, szczęściu. W znaczeniu biologicznym. - Mimo że, dodał w myślach, zarówno terrańskie, jak i tytańskie władze ustanowiły Grę nie dla zysków gospodarczych, lecz przede wszystkim w tym celu.

- Nie miałeś okazji oglądać mnie w Grze. - Złożywszy ręce za plecami, szybkim krokiem przemierzyła pokój na ukos. Przystanęła, patrząc na Pete'a. - Jestem niezła.

- Może nawet i dobra, ale na pewno nie dość dobra, by pokonać Luckmana. A o to mi idzie. Dziś wieczór będę z tobą grał, ale jutro chcę sprowadzić kogoś innego. Nie chciałbym cię obrazić.

- Ale mnie obrażasz.

- No to bądź sobie obrażona. - Wzruszył ramionami.

- Kogo zamierzasz tutaj ściągnąć?

- Joe Schillinga.

- Tego od starych płyt? - Miodowe oczy dziewczyny rozszerzyły się z niedowierzaniem. - Ale...

- Wiem, że Luckman go wykończył, ale nie sądzę, by mu się to udało po raz drugi. Schilling jest moim dobrym przyjacielem, ufam mu.

- W przeciwieństwie do mnie, tak? - obruszyła się Carol Holt. - Nie chce ci się nawet zobaczyć, jak gram. Wszystko już sobie zaplanowałeś. Zastanawiam się, po co ci się w ogóle opłacało brać ze mną ślub.

- W dzisiejszej rozgrywce... - zaczął Pete.

- Proponuję dać sobie spokój z dzisiejszą rozgrywką. - Na policzki Carol wypełzł ciemny rumieniec. Była wściekła.

- Zaczekaj. - Pete, speszony, próbował ją udobruchać. - Nie miałem zamiaru...

- Nie chciałeś mnie zranić - przerwała Carol Holt - ale zraniłeś mnie bardzo boleśnie. Moi przyjaciele z SuperChochoła darzą mnie najwyższym szacunkiem. Nie przywykłam do takiego traktowania. - Powieki jej zadrgały.

- Na litość boską - przeraził się Pete. Wziął Carol za rękę i szybko wyprowadził na zewnątrz, w ciemności nocy. - Posłuchaj: chciałem cię tylko przygotować na wypadek, gdybym wprowadził Joe Schillinga. Berkeley było moją główną Posiadłością i nie zamierzam z niego rezygnować, rozumiesz chyba? Nie ma to nic wspólnego z tobą. Jeśli o mnie chodzi, możesz być nawet najlepszą bleferką na świecie. - Chwycił ją za ramiona i uwięził w mocnym uścisku. - No, dość tych kłótni, wracajmy do domu. Gra już się zaczyna.

- Chwileczkę - siorbnęła Carol. Wygrzebała chusteczkę z kieszeni spódnicy i wytarła nos.

- Chodźcie wreszcie, kochani - zawołał Bill Calumine z domu.

W progu pojawił się Silvanus Angst.

- Zaczynamy. - Zauważył wracających Pete'a i Carol. - Przechodzimy do spraw gospodarczych, panie Garden. - Zachichotał. - Zapraszam.

Pete z Carol zawrócili do oświetlonego salonu - do Gry.

- Omawialiśmy wspólną strategię - powiedział Pete do Remingtona.

- W jakiej dziedzinie? - spytała Janice Remington, puszczając oko.

Freya obrzuciła wpierw wzrokiem Pete'a, potem Carol, jednak nie powiedziała nic. Inni byli bez reszty zaabsorbowani obserwacją Luckmana. Na stole pojawiły się pierwsze akty własności. Opornie, po jednym, wkładano je do koszyka.

- Panie Luckman - odezwała się arogancko Yule Marks - musi pan wyłożyć akt własności Berkeley. To pana jedyna posiadłość w Kalifornii. Wraz z resztą grupy śledziła w napięciu, jak wielka koperta ląduje w koszu. - Mam nadzieję, że pan przegra i pańska noga więcej tu nie postanie.

- Wyszczekana z pani kobietka - skwitował Luckman z kwaśnym uśmieszkiem. Nagle jego rysy nabrały stanowczości, twarz stężała, znieruchomiała.

Zamierza nas wykończyć, pomyślał Pete. Właśnie podjął decyzję. Nie kocha nas bardziej niż my jego. Szykuje się rozgrywka trudna i nieczysta.

- Wycofuję swoją ofertę - oznajmił Luckman. - Dotyczącą sprezentowania wam aktów własności pozakalifornijskich miast. - Wziął do ręki stertę ponumerowanych kart i zaczął je tasować wielkopańskim gestem. - W obliczu waszej wrogości wszelkie pozory życzliwości mijają się z celem.

- Zgadza się - odrzekł Walt Remington.

Nikt więcej się nie odezwał, ale dla Luckmana, podobnie jak dla Pete'a, było jasne, że wszyscy czują to samo.

- Ciągniemy do pierwszej rundy - zapowiedział Bill Calumine, biorąc kartę z potasowanej talii.

Zapłacą za swój stosunek do mnie, zapowiedział w duchu Jerome Luckman. Przybyłem tu legalnie i uczciwie, starałem się. jak mogłem, ale oni nie są tego warci.

Nadeszła jego kolej, by wyciągnąć kartę; wyciągnął siedemnastkę. Moje szczęście już daje znać o sobie. Zapalił kubańskie cygaro, rozparł się na krześle i obserwował ciągnących.

Dobrze, że Dave Mutreaux odmówił przyjazdu tutaj, uświadomił sobie. Przewidz miał rację. Elektroencefalogram był specjalnie naszykowaną pułapką; załatwiliby go na amen.

- Naturalnie zaczynasz, Luckman. Z twoją siedemnastką przebijasz wszystkich - zarządził Calumine. Wyglądał, podobnie jak reszta, na zrezygnowanego.

- Szczęście Szczęściarza Luckmana - powiedział Luckman, biorąc do ręki okrągły, metalowy bączek.

On i ona kłócili się na zewnątrz, stwierdziła Freya Gaines, śledząc Pete'a spod oka. Carol po powrocie wyglądała, jakby płakała. Coś tu nie gra, skonstatowała z zadowoleniem.

Czuła, że nie będą w stanie grać jako partnerzy. Carol nie potrafi sobie poradzić z melancholią Pete'a, z jego hipochondrią. Więc nie odnajdzie w niej kobiety, która umie sobie z nim poradzić. Wiem, że wróci do mnie i będziemy ze sobą poza Grą. Wróci, inaczej załamie się emocjonalnie.

Teraz była jej kolej. W rundzie wstępnej nie stosowano blefu, zamiast zakrytych kart używano jawnego bączka. Freya zakręciła bąkiem; wypadła czwórka. Do diabła, zaklęła, przesuwając pionek na planszy o cztery kratki do przodu. Znalazła się na znanym sobie, niestety, polu: Akcyza. Płacisz $ 500.

Zapłaciła w milczeniu; banknoty jako bankier przyjęła Janice Remington. Strasznie jestem napięta, pomyślała Freya. Wszyscy są tutaj napięci, nie wyłączając Luckmana.

Kto z nas pierwszy sprawdzi blef Luckmana ? Kto się ośmieli? Czy mu się powiedzie? Czy dobrze trafi? Skóra jej cierpła na samą myśl o tym. Tylko nie ja, pomyślała.

Pete dałby radę. Zrobi to pierwszy; naprawdę nienawidzi tego gościa.

Nadeszła kolejka Pete'a. Wykręcił siódemkę i przestawił pionek. Jego twarz była bez wyrazu.

6

Z braku większej gotówki, Joe Schilling posiadał stare, kłótliwe, humorzaste auto, które nazywał Maxem. Niestety, nie stać go było na nowsze.

Tego dnia Max, jak zawsze, próbował wykręcić się od polecenia.

- Nie, nie polecę na Wybrzeże. Możesz pójść pieszo.

- Nie proszę, tylko rozkazuję - powiedział Joe.

- Cóż takiego masz nagle do roboty na Wybrzeżu? - spytał Max, jak to on, opryskliwie. Jednak silnik zawarczał. - Przed tak długą podróżą należy mi się przegląd - labiedził Max. - Dlaczego nie dbasz o mnie jak trzeba? Wszyscy dokoła mają samochody w dobrym stanie.

- Nie jesteś wart konserwacji - odparł Joe Schilling, wsiadając do samochodu. Usiadł za sterownicą, kiedy uświadomił sobie, że zapomniał o papudze, Eeore. - Psiakość. Nie ruszaj beze mnie. Muszę po coś wrócić.

Wysiadł z samochodu i z kluczem w ręku pognał do sklepu płytowego.

Samochód przyjął jego powrót z papugą bez komentarza; albo się poddał, albo wysiadł mu obwód mowy.

- Powinien tu być lada chwila, Patricio - powiedział Mutreaux, patrząc na zegarek. - Na pewno będziesz chciała na niego zaczekać.

- Dlaczego? - spytała, nadal zbierając porozrzucane po mieszkaniu przedmioty. - Nie chcę czekać, chcę stąd wyjść. Zanim znowu coś się wydarzy. Coś, w czym ona znów będzie maczać palce.

- Musimy we troje przekabacić tego tu Gardena. - Mutreaux wskazał na Pete'a.

- Weź sobie do pomocy Natsa Katza - powiedziała Patricia. - Mówię ci, że nie zamierzam zostać sekundy dłużej niż to konieczne!

- Ale teraz Katz jest w Carmel - wyjaśnił cierpliwie Mutreaux. - A my chcemy, żeby Garden był całkiem po naszej stronie, kiedy dotrzemy na miejsce.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała obojętnie Patricia. Była całkowicie pochłonięta paniczną ucieczką, rzucała się jak szalona. - Posłuchaj, Dave, przysięgam na Boga, zależy mi tylko na jednym - żeby uniknąć powtórki z tego, co się zdarzyło w Nevadzie. Byłeś tam, więc wiesz, o czym mówię. A następnym razem już cię nie oszczędzi, bo jesteś z nami. Szczerze ci radzę też brać nogi za pas. Niech Philipson pokieruje całością, skoro jest na nią odporny. Zresztą to twoje życie, decyduj sam. - Kontynuowała pakowanie, a Mutreaux usiadł ponuro z igłowcem w ręku, czekając na przybycie doktora Philipsona.

Blokują, myślał Pete. Obie strony blokują zdolności psioniczne, jeśli wierzyć Patricii. Moglibyśmy umówić się, że zażyjemy fenotiazynę, a oni coś, co działa na nich. Kiedy czytali w moich myślach - oszukiwali. I znowu będą oszukiwać, uświadomił sobie. Nie powinniśmy wierzyć, że się zablokują. W ich pojęciu moralność w stosunku do nas nie obowiązuje.

- Masz rację - powiedziała Patricia, odbierając jego myśli. - Nie będą się blokować, grając przeciwko tobie, Pete. A ty nie możesz ich do tego zmusić, bo wasze reguły Gry nie uwzględniają takich zastrzeżeń. Wasza strona nie może się wykazać prawną podstawą do tego typu roszczeń.

- Możemy udowodnić, że nigdy nie dopuszczaliśmy psioników do planszy.

- Ale zamierzacie dopuścić. Twoja grupa głosuje nad dopuszczeniem mojej cholernej córki i Dave'a Mutreaux, czyż nie tak? - Zimny uśmiech wykrzywił jej twarz. Oczy miała mroczne, bez połysku. - Tak właśnie sprawy stoją, Pete. Bardzo źle. Chociaż chciałeś dobrze.

Blefowanie, pomyślał. Telepaci. Blokada farmakologiczna, która unieczynnia przysadkę, będącą ośrodkiem zdolności pozazmysłowych w mózgu. Można je osłabić w różnym stopniu, przytępić częściowo, lecz nie całkowicie. Stopień przytępienia zależy od dawki: dziesięć miligramów fenotiazyny osłabi zdolności, sześćdziesiąt - wyłączy je całkowicie.

I wtedy spłynęła na niego myśl, od której zakręciło mu się w głowie. Co by było, gdybyśmy nie patrzyli na wyciągane karty? Tytańczycy nie mieliby czego szukać w naszych umysłach, ponieważ nie byłoby tam informacji, jaki numer wyciągnęliśmy...

- Prawie mu się udało, Dave - Patricia zwróciła się do Mutreaux. - Zapomina, że nie będzie grał po stronie Terran, że kiedy siądzie do planszy, będzie należał do nas. - Przyniosła mały neseser i pośpiesznie go zapełniała.

Gdybyśmy mieli Mutreaux, gdyby udało się nam go odzyskać, mielibyśmy szansę wygrać. Bo nareszcie wiem jak.

- Zgadłeś - powiedziała Patricia - ale co z tego będziesz miał?

- Moglibyśmy przytępić jego zdolność jasnowidzenia w nieznacznym stopniu - powiedział na głos Pete. - Tak, żeby stała się nieprzewidywalna. Posługując się pastylkami fenotiazyny, ciągnął w myślach, które działają przez wiele godzin z różną mocą. Mutreaux nie wiedziałby sam, czy blefuję, czy nie, jak trafne są jego domysły. Wyciągałby kartę i nie patrząc na nią, przesuwał pionek. Gdyby jednak w tym momencie jego dar jasnowidzenia działał na pełnych obrotach, odgadywałby trafnie i nie blefował. Jeśliby jednak lek działał akurat mocniej...

Byłby to blef. A Mutreaux nie wiedziałby o tym. To można by łatwo zaaranżować. - ktoś inny przygotowałby pastylkę fenotiazyny, ustalił odstępy czasu, w jakich uaktywniałyby się poszczególne składniki.

- Przecież - upomniała go łagodnie Patricia - Dave nie gra po twojej stronie planszy, Pete.

- Ale ja mam rację - odparł Pete. - W ten sposób moglibyśmy grać przeciw tytańskim telepatom i wygrać.

- Owszem - skinęła głową Patricia.

- Znalazł rozwiązanie, prawda? - zwrócił się do niej Mutreaux.

- Znalazł - odparła. - Żal mi ciebie, Pete, bo masz odpowiedź, ale przyszła za późno. Twoi ludzie mieliby sporo frajdy. Przygotowanie granulek preparatów wchodzących w skład pastylki, użycie skomplikowanych tabel i receptur, by uzyskać pożądane tempo uaktywniania składników. Ewentualnie tempo mogłoby być przypadkowe lub zdefiniowane z góry, ale tak skomplikowane, że...

- Jak pan tu może siedzieć ze świadomością, że nas pan zdradził? - zwrócił się Pete do Mutreaux. - Nie jest pan obywatelem Tytana, jest pan Terraninem.

- Oddziaływania parapsychiczne są realne, Pete, nie mniej realne niż wszelkie inne siły - odparł spokojnie Mutreaux. - Przewidziałem moje spotkanie z Natsem Katzem. Przewidziałem, co się wydarzy, ale nie mogłem temu zapobiec. Nie zapominaj, że nie ja go szukałem, lecz on odnalazł mnie.

- Dlaczego nas nie ostrzegłeś, kiedy jeszcze byłeś po naszej stronie planszy? - spytał Pete.

- Zabilibyście mnie - odparł Mutreaux. - Przewidziałem taką właśnie przyszłość alternatywną. Jedną z kilku, jak już mówiłem. I - wzruszył ramionami - nie mam do was pretensji. Co by wam innego zostało? Moje przejście na stronę Tytana determinuje wynik gry. Dowodem na to fakt, że pozyskaliśmy ciebie.

- On żałuje, że nie zostawiłeś w apteczce emfytalu - wtrąciła się Patricia. - Biedny Pete, zawsze gotów do samobójstwa, dobrze mówię? Dla ciebie to jest zawsze najlepsze wyjście. Dobre na każdą okazję.

- Doktor Philipson powinien już tu być - powiedział niespokojnie Mutreaux. - Jesteś pewna, że dogadaliśmy się co do przygotowań? Czy może sprzedał się liberałom? Legalnie to oni...

- Doktor Philipson nigdy by się nie zaprzedał tytańskim tchórzom - odrzekła Patricia. - Znasz jego poglądy. - Jej głos, zgnębiony i przerażony, zabrzmiał ostro.

- Ale nie ma go tutaj - powiedział Mutreaux. - Coś jest nie tak.

Spojrzeli na siebie w milczeniu.

- Co przewidujesz? - spytała Patricia.

- Nic - odparł pobladły Mutreaux.

- Dlaczego?

- Gdybym mógł przewidzieć, to bym przewidział. Kropka - powiedział zgryźliwie Mutreaux. - To chyba jasne? Nie wiem, a chciałbym wiedzieć. - Wstał i podszedł do okna. Na moment zapomniał o Pecie. Z opuszczonym niedbale miotaczem mrużył oczy, usiłując przebić wzrokiem wieczorny mrok. Stał plecami do Pete'a i Pete skoczył w jego stronę.

- Dave! - szczeknęła Patricia, upuszczając naręcze książek.

Mutreaux odwrócił się i promień igłowca świsnął koło Pete'a; poczuł peryferyjne skutki strzału, odwadniającą otoczkę wokół promienia laserowego - skoncentrowanej, silnej wiązki, niezwykle skutecznej zarówno z bliska, jak i na odległość.

Pete uniósł obie ręce i łokciami uderzył przewidzą w nie osłonięte gardło.

Broń odturlała się po podłodze. Patricia McClain szlochając, rzuciła się za nim na czworakach.

- Czemu? Dlaczego nie przewidziałeś tego? - Wpiła się palcami w niewielki bębenek broni.

Mutreaux pociemniał na twarzy. Wyglądał na chorego. Przymknął oczy. Miał zapaść. Z chrapliwym oddechem bił rękami po ciele. Nie interesowało go nic poza nadludzkim wysiłkiem, by przeżyć.

- Zabiję cię, Pete - wydyszała Patricia McClain, robiąc krok w tył i mierząc chwiejnie w Pete'a. Na jej górnej wardze zobaczył kroplę potu. Usta Patricii drżały, a oczy wypełniły się łzami. - Potrafię czytać w twoich myślach - powiedziała ochryple - i wiem, Pete, wiem, co zrobisz, jeśli ja tego nie zrobię. Chciałbyś mieć Dave'a Mutreaux z powrotem po waszej stronie planszy i wygrać, ale nie możesz. On jest nasz.

Odskoczył do tyłu, żeby zejść z drogi lasera; po omacku szukał czegokolwiek. Jego palce domknęły się wokół książki. Cisnął książką; powiewając stronicami, wylądowała u stóp Patricii, ale nie wyrządziła jej żadnej szkody.

Patricia spokojnie cofnęła się, ciężko dysząc.

- Dave się pozbiera - szepnęła. - Gdybyś go zabił i tak nie miałoby to większego znaczenia, ponieważ wtedy nie mógłbyś go skaptować na swoją stronę i nie musielibyśmy...

Urwała. Odwróciła błyskawicznie głowę. Nasłuchiwała z zapartym tchem.

- Drzwi - powiedziała.

Gałka w drzwiach przekręciła się.

Patricia uniosła broń. Jej ramię z wolna zaczęło się skręcać i wyginać, aż jej własna twarz znalazła się na celowniku miotacza. Jak zahipnotyzowana patrzyła w wylot miotacza.

- Proszę cię, nie - powiedziała. - Dałam ci życie. Proszę... Palce, wbrew jej woli, nacisnęły spust. Błysnął promień lasera.

Pete odwrócił wzrok.

Kiedy spojrzał z powrotem, drzwi mieszkania nareszcie otworzyły się. Mary Anne. obwiedziona konturem nocy, wolno wkroczyła do środka z rękami w kieszeniach długiego palta. Jej twarz nie zdradzała żadnych uczuć.

- Dave Mutreaux żyje, prawda? - spytała Pete'a.

- Żyje. - Nie mógł patrzeć na bezładną masę, która jeszcze przed chwilą była Patricia McClain. Odwrócił wzrok. - Jest potrzebny, więc zostaw go w spokoju, Mary - powiedział. Jego serce biło z trudem.

- Wiem o tym - odparła.

- Skąd wiedziałaś o tym?

- Kiedy dotarliśmy z Joe Schillingiem do kondominium w Carmel - odparła po chwili - zobaczyłam Natsa i zaraz się domyśliłam. Wiedziałam, że Nats piastuje w organizacji najwyższe stanowisko. Nawet Rothman był od niego niższy rangą.

- Co tam zrobiłaś? - spytał Pete.

Joe Schilling, nadymając policzki z emocji, wszedł do mieszkania, podszedł do Mary Anne i położył jej rękę na ramieniu, ale ona wyrwała mu się i wycofała w róg salonu, skąd przyglądała się im, stojąc.

- Kiedy wchodziła - zaczął Schilling - Katz robił sobie drinka. Ona... - Zawahał się.

- Przesunęłam szklankę, którą trzymał - powiedziała matowym głosem. - Przesunęłam ją o pięć cali. To wszystko. Trzymał ją... przy piersiach.

- Szklanka jest w nim - powiedział Schilling. - Po prostu odcięła serce, czy też część serca, od układu krążenia. Było sporo krwi, bo szkło nie wbiło się do końca. - Zamilkł i nie odezwał się więcej, podobnie jak Mary Anne.

Na podłodze Dave Mutreaux z siną twarzą, gulgocząc, walczył o oddech w płucach. Nie trzymał się już za szyję i otwarł oczy. Wyglądał jednak, jakby nic nie widział.

- Co z nim? - zapytał Schilling.

- Skoro Patricia nie żyje, Nats Katz nie żyje, a Philipson... - Teraz dotarło do niego, dlaczego doktor Philipson nie stawił się. - Wiedział, że będziesz tutaj - powiedział do Mary Anne. - Więc bał się opuścić Tytana. Philipson uratował się ich kosztem.

- Chyba tak - wyszeptała Mary Anne.

- Trudno mu się dziwić - powiedział Schilling.

- Wyjdziesz z tego? - spytał Pete, nachylając się nad Mutreaux.

Dave Mutreaux potaknął bezgłośnie.

- Musisz stawić się przy planszy - powiedział Pete. - Po naszej stronie. Wiesz czemu, wiesz, co zamierzam zrobić.

Mutreaux, nie odrywając od niego oczu, potaknął.

- Poradzę sobie z nim - oświadczyła Mary Anne, podchodząc, by mu się przyjrzeć. - Za bardzo się mnie boi, żeby działać na ich korzyść. Nieprawdaż? - zwróciła się do Mutreaux tym samym martwym, obojętnym głosem. Trąciła go czubkiem buta.

Otępiały Mutreaux potaknął z trudem.

- Ciesz się, że żyjesz - powiedział Schilling.

- Właśnie - przytaknęła Mary Anne. - Czy mógłbyś coś zrobić z moją matką? - zwróciła się do Pete'a.

- Jasne - odparł i posłał spojrzenie Schillingowi. - Może zejdziesz na dół i zaczekasz w samochodzie - zaproponował Mary Anne. - Zadzwonimy po E.B. Blacka. Nie będziesz nam chwilowo potrzebna.

- Dziękuję. - Odwróciła się i powoli wyszła z mieszkania. Pete i Joe odprowadzili ją wzrokiem.

- Dzięki niej - powiedział Joe - zwyciężymy tam, przy planszy.

Pete skinął głową. Dzięki niej i dzięki temu, że Mutreaux nadal żył. Żył - i nie mógł już kolaborować z Tytanem.

- Mieliśmy szczęście - powiedział Joe Schilling. - Ktoś zostawił drzwi do apartamentu otwarte i zobaczyła Katza, zanim on ją zauważył. Była na zewnątrz i kiedy ją dostrzegł, było już za późno. Myślę, że zdał się na zdolności Mutreaux, zapominając, czy też nie orientując się, że dla przewidzą Mary Anne jest zmienną. Zdolności Mutreaux nie dawały mu żadnej osłony. Mutreaux mogłoby równie dobrze nie być.

Tak samo jak nas, pomyślał Pete. Też nie mamy żadnej osłony.

Ale nie miał głowy, żeby się tym martwić teraz. Przed nimi - Gra z Tytańczykami; nie musiał być przewidzem, żeby o tym wiedzieć. Cała reszta musiała zaczekać.

- Ufam jej - powiedział Joe Schilling. - Nie boję się jej kolejnych numerów, Pete.

- Miejmy nadzieję, że masz rację - powiedział Pete. Przykląkł przy ciele Patricii McClain. Była matką Mary, uświadomił sobie. A jednak Mary Anne jej to zrobiła." Mimo to musimy polegać na zabójczyni własnej matki. Joe ma rację. Nie mamy wyboru.

16

- Chciałbym, żebyś przyjął coś do wiadomości - powiedział Garden do Mutreaux. - W trakcie Gry, Mary Anne przy planszy będzie siedzieć cały czas przy tobie. Jeśli przegramy, Mary cię zabije.

- Wiem. Od śmierci Pat nie mam wątpliwości, że moje życie zależy od wygranej. - Usiadł, masując szyję i popijając gorącą herbatę.

- A wasze życia, pośrednio, również.

- Owszem - potaknął Schilling.

- Jeśli dobrze ich rozumiem, powinno się to zacząć w każdej chwili - powiedziała Mary Anne. - Zaczną pojawiać się na Ziemi w ciągu najbliższej pół godziny. - Siedziała w najdalszym kącie kuchni McClainów. Przez otwarte drzwi salonu widać było bezkształtną postać E.B. Blacka, naradzającego się z ludzkimi członkami wydziału policji Zachodniego Wybrzeża. Co najmniej sześciu ludzi kręciło się po salonie, jednak stale nadciągali nowi.

- Musimy ruszać do Carmel - powiedział Pete. Przez wideofon załatwił ze swoim psychiatrą, doktorem Macym z Salt Lake City, przygotowanie pastylek fenotiazyny. Miały przylecieć do Carmel wprost z jednej z firm farmaceutycznych w San Francisco do kondominium, a odebrać je miał, niezmiennie reprezentujący grupę, Bill Calumine.

- Po jakim czasie fenotiazyna zaczyna działać? - spytał Pete'a Joe Schilling.

- Natychmiast po zażyciu - powiedział Pete. - O ile Mutreaux nie ma wcześniejszych doświadczeń z fenotiazyna. - Było to mało prawdopodobne, gdyż lek przytępiał zdolności psioniczne.

Cała czwórka, zwolniona przez E.B. Blacka, wyleciała z San Rafael do Carmel w rozklekotanym wozie Joe Schillinga, za którym leciał pusty wóz Pete'a. Niewiele słów padło w drodze. Mary Anne patrzyła przez okno niewidzącym wzrokiem. Dave Mutreaux, skulony i sflaczały, obmacywał co chwila poturbowaną szyję. Joe Schilling z Pete'em siedzieli z przodu.

Niewykluczone, że ostatni raz lecimy tą trasą, uświadomił sobie Pete.

Dosyć szybko dotarli do Carmel. Pete zaparkował samochód, wyłączył silnik i trzeszczący obwód Rushmore'a. Cała czwórka wysiadła.

W ciemnościach zobaczył oczekującą ich grupkę ludzi.

Coś w ich wyglądzie sprawiło, że mróz przeszedł mu po kościach. Było ich czworo, trzech mężczyzn i kobieta. Wyciągnął latarkę ze schowka swojego wozu, który wylądował na jezdni tuż za Maxem i oświetlił grupę oczekującą ich w milczeniu.

- Rozumiem - powiedział po długiej chwili Joe.

- Jasne - dorzucił Mutreaux. - Tak właśnie będzie wszystko rozgrywane. Przez wzgląd na nas wszystkich mam nadzieję, że się nie cofniecie.

- Do diabła, nie - odparł zwięźle Pete.

Cztery milczące, oczekujące postaci były tytańskimi fantomami.

Sobowtórami ich czwórki. Wug Peter Garden, wug Joe Schilling, wug Dave Mutreaux i, nieco z tyłu, wug Mary Anne McClain. Ten ostatni nie był tak doskonały, tak materialny jak inne. Mary Anne stanowiła dla Tytańczyków twardy orzech do zgryzienia. Nawet pod tym względem.

- A jeśli przegramy? - spytał Pete czwórkę fantomów.

- Jeśli i gdy przegracie, panie Garden - odparł jego duplikat, wug Pete Garden identycznym głosem - pańska obecność nie będzie już niezbędna w Grze i ja zastąpię pana. Po prostu.

- Kanibalizm - zgrzytnął zębami Joe Schilling.

- Nie - zaprzeczył wug Joe Schilling. - Z kanibalizmem mamy do czynienia, gdy osobnik pewnego gatunku zjada osobnika tego samego gatunku. Nie jesteśmy tym samym gatunkiem co wy. - Wug Schilling uśmiechnął się, a był to uśmiech znany Pete'owi Gardenowi od lat, imitacja w najwyższym gatunku.

Czy całej grupie na górze, pozostałym członkom Błękitnawego Lisa, też objawiły się ich fantomy? - zastanawiał się Pete.

- Owszem - potwierdził wug Peter Garden. - Czy wobec tego możemy przejść do czynu? Gra powinna się zacząć natychmiast. Nie ma powodu, by zwlekać. - Ruszył w stronę schodów, wskazując drogę.

Najstraszliwszy w tym wszystkim, przyprawiający Pete'a o mdłości, był raźny krok, jakim wug wspinał się po schodach. Pewność siebie, jakby szedł po tych schodach tysiące razy.

Już zdążył się zadomowić tu, na Ziemi, w samym środku ich codziennego życia. Pete z dreszczem patrzył, jak pozostałe trzy fantomy równie zwinnie maszerują po schodach. W końcu on sam i jego towarzysze opornie ruszyli do góry.

Na piętrze otwarły się drzwi. Wug Peter Garden wszedł do apartamentu grupy blefowej Błękitnawy Lis.

- Witajcie - pozdrowił zebranych.

Stuart Marks - czy może tylko sobowtór Stuarta Marksa - spojrzał na niego z przerażeniem.

- Mam nadzieję, że już jesteśmy w komplecie - wyjąkał. On czy ono przekroczyło próg z lekceważącym wyrazem twarzy. - Cześć.

- Miły widok! - skwitował Pete lakonicznie.

Zasiedli naprzeciwko siebie, po dwóch stronach stołu, z jednej strony tytańskie fantomy, z drugiej - Błękitnawy Lis wzbogacony o Dave'a Mutreaux i Mary Anne McClain.

- Cygaro? - zaproponował Schilling.

- Nie, dziękuję - odparł Pete.

Po drugiej stronie stołu wugowski fantom Joe Schilling zwrócił się do swojego Pete'a Gardena.

- Cygaro?

- Nie, dziękuję - odparł wug Pete Garden.

- Czy nadeszła przesyłka z firmy farmaceutycznej w San Francisco? - Pete Garden spytał Billa Calumine'a. - Jest nam niezbędna do rozpoczęcia Gry. Mam nadzieję, że jesteśmy w tej kwestii zgodni.

- Pomysł, którego się uczepiliście, obniżenie na chybił trafił zmysłu prekognicji, wydaje się godny uwagi - odezwał się wug - Peterze Garden. Macie absolutną rację, to w dużym stopniu wyrówna nasze szansę. - Posłał szeroki uśmiech członkom Błękitnawego Lisa po drugiej stronie stołu. - Jesteśmy gotowi zaczekać na przybycie waszego specyfiku. Odmowa byłaby nie fair.

- Oczywiście, że będziecie musieli zaczekać - zareagował Pete Garden. - Wiadomo, że nie zaczniemy bez leków. Nie udawajcie, że robicie nam szczególną łaskę - jego głos drżał lekko.

- Przepraszam. - Bill Calumine nachylił się ku nim. - Jest już w kuchni.

Pete Garden i Dave Mutreaux wstali z miejsc i udali się do kuchni apartamentu. Na środku kuchennego stołu, pośród tacek na wpół stopionego lodu, cytryn, mikserów, szklanek, piwa, dostrzegł oklejoną taśmą paczuszkę, owiniętą w papier pakunkowy.

- Pomyśl tylko - odezwał się w zadumie Mutreaux do otwierającego paczkę Pete'a - że jeśli to nie zadziała, podzielę los Patricii i tamtych w Nevadzie. - Mimo wszystko, wydawał się spokojny. - w skrzydle liberalnym nie wyczuwam tej wszechobecnej pogardy wobec porządku i prawa, jakie dostrzegam w Wa Pei Nan, u doktora Philipsona i takich jak on. Czy raczej ono. - Śledził uważnie ruchy Pete'a, który wyjmował pastylkę fenotiazyny z buteleczki. Jeśli znasz czas uaktywniania poszczególnych granulek w środku, wugi będą umiały...

- Nie znam - odparł Pete lakonicznie, napełniając szklankę wodą z kranu. - Znanej z zasad firmie, która przygotowywała pastylki, pozostawiono wolny wybór pomiędzy działaniem natychmiastowym, stuprocentowym, poprzez dowolne sekwencje uwalniania poszczególnych składników, aż po brak jakiegokolwiek działania. Dodatkowo poproszono ich o wykonanie kilku, różniących się od siebie, pastylek. Teraz z kolei ja wybieram jedną na chybił trafił. Z wyglądu niczym nie różni się od innych. - Podał środek wraz ze szklanką wody Mutreaux.

Mutreaux, ze śmiertelną powagą, połknął pastylkę.

- Powiem ci jedną rzecz poufnie - powiedział Mutreaux. Parę lat temu, w ramach eksperymentu, zażyłem pochodną fenotiazyny. Wywarła potężny wpływ na moją zdolność jasnowidzenia. - Obdarzył Pete'a chytrym uśmieszkiem. - Pamiętasz, przed wyjściem do Pat McClain powiedziałem, że na ile mogę przewidzieć, twój pomysł jest właściwą odpowiedzią na nasze problemy. Gratulacje.

- Mówisz to jako ktoś szczerze związany z nami czy jako ktoś zmuszony do Gry po naszej stronie?

- Nie wiem - odparł Mutreaux. - Jestem w fazie przejściowej, Pete. Czas pokaże. - Odwrócił się i bez słowa wyszedł do salonu, gdzie wokół planszy skupiły się dwie walczące strony.

- Proponuję, żeby nasza strona zaczęła - powiedział wug Bil Calumine, wstając. - Energicznie i z wprawą zakręcił kołem.

Wskazówka zatrzymała się na dwójce.

- W porządku - powiedział Bill Calumine, podnosząc twarz do swojego fantoma. Też zakręcił kołem. W okolicach dwunastki wskazówka zwolniła i zaczęła zbliżać się do jedynki.

- Czy przeciwdziałasz próbom psychokinezy z ich strony? - spytał Pete Mary Anne.

- Owszem - odparła, skupiając się na wskazówce, która bardzo powoli się przesuwała.

Stanęła na jedynce.

- To jest uczciwe - powiedziała Mary Anne ledwie słyszalnym głosem.

- Wy, Tytańczycy, rozpoczynacie Grę - zgodził się łaskawie Pete. Udało mu się nie zdradzić rozczarowania.

- Świetnie - odparł jego fantom. Patrzył na niego z szyderczym uśmiechem. - W tej sytuacji pole walki przeniesiemy z Terry na Tytana. Wy, Terranie, nie macie nic przeciwko temu, prawda? - dodał.

- Co? - zaniepokoił się Joe Schilling. - Chwileczkę! - Ale proces transformacji już się zaczął. Było za późno.

Pokój zadrżał i zaszedł mgłą. A siedzące naprzeciwko Pete'a fantomy zaczęły przekrzywiać się i tracić ciągłość. Jakby ich kształt fizyczny utracił funkcjonalność, myślał Pete, jakby miały zostać zrzucone w procesie ewolucji - niczym koślawe, prehistoryczne szkielety zewnętrzne.

Jego fantom, siedzący dokładnie na wprost Pete'a, nagle zakolebał się obrzydliwie. Głowa mu zwisła, oczy zgasły, zaszkliły się i zaszły mętną błoną. Ciałem fantoma wstrząsnął dreszcz. W jego boku pojawiła się długa szpara.

To samo działo się z pozostałymi fantomami.

Zjawa Pete'a Gardena dygotała, wibrowała, wreszcie z sięgającej od stóp do głów szczeliny wypadł, drżąc, niejasny zarys czegoś.

Z pęknięcia wysączał się protoplazmowy twór, wug w autentycznej postaci. Po odrzuceniu sztucznej łuski kierował się ku szarożółtym promieniom słabszego słońca.

Z każdej z odrzuconych ludzkich łusek wyłaniał się wug, a łuski, kolebiąc się, jakby unoszone niewyczuwalnym wiatrem, wirowały i odfruwały, bezbarwne i nieważkie. W powietrzu unosiły się okruchy i strzępy; pył z łusek przeleciał nad planszą i Pete Garden otrzepał się w popłochu.

Gracze z Tytana objawili się wreszcie w swojej prawdziwej formie. Gra zaczynała się na dobre. Upadły oszukańcze pozory ziemskiego wyglądu; przestały być potrzebne z chwilą, gdy Gra przestała się toczyć na Ziemi.

Byli na Tytanie.

- Dave Mutreaux będzie cały czas grał w naszym imieniu - powiedział Pete Garden z całym spokojem, na jaki było go stać. - Choć pozostali, naturalnie, będą ciągnąć karty i wykonywać pozostałe czynności Gry.

Wugi z naprzeciwka odpowiedziały telepatycznie ironicznym, bezsensownym śmiechem. Dlaczego?, zastanawiał się Pete. Czuło się, że po odrzuceniu fantomowych kształtów, komunikacja między obiema rasami natychmiast ulegnie upośledzeniu.

- Joe - zwrócił się do Schillinga - jeśli Bill Calumine nie ma nic przeciwko temu, chciałbym, żebyś ty przestawiał pionki.

- W porządku - skinął głową Joe Schilling.

Nad planszę napłynęły kłęby szarej, wilgotnej, zimnej mgły, spowijając nierównomiernie sylwetki wugów. Tytańczycy, nawet fizycznie, dystansowali się, starając się do minimum zredukować kontakt z Terranami. Nie był to akt wrogości, lecz instynktowny odruch.

Być może, pomyślał Pete, od pierwszej chwili byliśmy skazani na tę partię Gry. Być może była nieuchronną konsekwencją spotkania obu kultur. Czuł wewnętrzną pustkę i rozpacz. I determinację, większą niż kiedykolwiek, żeby wygrać.

- Ciągniemy kartę - zapowiedziały wugi, a ich telepatyczne przekazy stopiły się w jedno, jakby istniał tylko jeden wug, przeciw któremu grała cała grupa. Jeden potężny, bezwładny organizm, pradawny i powolny w działaniu, lecz nieskończenie zdeterminowany.

W dodatku mądry.

Pete Garden nienawidził go. I lękał się.

- Zaczynają oddziaływać na talię kart! - zaalarmowała na głos Mary Anne.

- W porządku - powiedział Pete. - Staraj się utrzymać najwyższą koncentrację. - Sam czuł się potwornie zmęczony. Czy już przegraliśmy? - zastanawiał się. Miał wrażenie, że tak. Miał wrażenie, jakby grali od Bóg wie kiedy. A przecież dopiero co zaczęli Grę.

Bill Calumine sięgnął po kartę.

- Nie patrz na nią - ostrzegł go Pete.

- Wiem - zirytował się Calumine. Nie patrząc, podsunął kartę Dave'owi Mutreaux.

W migotliwym półmroku Mutreaux, zmarszczywszy czoło w skupieniu, nachylił się nad odwróconą kartą.

- Siedem pól - oświadczył.

Na dany przez Calumine'a znak Joe Schilling przesunął pionek o siedem pól do przodu. Na polu, na którym postawił pionek, widniał napis: Podwyżka cen paliwa. Zapłać $ 50 służbom oczyszczania miasta.

Joe Schilling uniósł głowę i spojrzał na reprezentanta Tytana, rozpłaszczonego po drugiej stronie planszy.

Nikt nie zamierzał sprawdzać jego blefu? Tytańczycy zdecydowali puścić ten ruch.

Nagle Dave Mutreaux zwrócił się do Pete'a Gardena.

- Przegraliśmy - powiedział. - To znaczy, przegramy. Widzę to w każdym wariancie przyszłości.

Pete Garden przeszył go spojrzeniem.

- Twoje zdolności - zwrócił uwagę Joe Schilling. - Zapomniałeś? Są teraz mocno osłabione. To dla ciebie nowość. Masz mylną orientację. Prawda, że tak jest?

- Moje zdolności chyba nie osłabły - odparł z wahaniem Mutreaux.

- Czy chcecie wycofać się z Gry? - spytał siedzący naprzeciwko przedstawiciel wugów.

- Na razie nie - odparł Pete, a Bill Calumine, blady i zszokowany, przytaknął mu po namyśle.

Co to ma być, zachodził w głowę Pete. Co się dzieje? Czyżby Dave Mutreaux, pomimo groźby Mary Anne, zdradził nas?

- Mówię głośno, bo oni - Mutreaux wskazał na przeciwnika - i tak czytają w moich myślach.

Była to prawda, musiał przyznać Pete. Jego umysł działał na wściekłych obrotach. Szukał ostatniej deski ratunku. Usiłował nie poddać się atakowi paniki, przeczuciu klęski.

Joe Schilling zapalił cygaro i rozparł się wygodnie.

- Proponuję kontynuować Grę - powiedział. Nie wydawał się zaniepokojony. A przecież musiał być. Ale Joe Schilling, uprzytomnił sobie Pete, był wielkim Graczem. Nigdy nie okazywał emocji ani się nie poddawał. Joe wytrwa na posterunku do końca i oni też. Ponieważ nie mieli wyboru, i tyle.

- Jeśli wygramy - zwrócił się Pete do wugowskiego przeciwnika - uzyskamy władzę nad Tytanem. Tyle możecie stracić. Wasza stawka jest równie wysoka jak nasza.

- Grajcie - odparł wug, prężąc się i wibrując.

- Wasza kolej ciągnąć kartę - przypomniał Joe Schilling.

- Racja. - Upomniany wug wyciągnął kartę. Zawahał się, po czym na planszy jego pionek powędrował o jeden, dwa. trzy... w sumie - dziewięć pól do przodu.

Twoi zwiadowcy wykryli planetoidę pełną zabytków archeologicznych. Dostajesz $ 70 000.

Czy to był blef? Pete Garden odwrócił się do Joe Schillinga. Bill Calumine również nachylił się ku nim, aby się naradzić. Cała grupa zbiła się ciasno, dyskutując półgłosem.

- Sprawdziłbym go - powiedział Joe Schilling.

Członkowie Błękitnawego Lisa głosowali z wahaniem. Przy niemal równych głosach stanęło na tym, że ruch był blefem.

- Blef - powiedział na głos Joe.

Karta wuga natychmiast odwróciła się na drugą stronę. Była dziewiątką.

- Grają uczciwie - oświadczyła Mary Anne ponuro. - Niestety. Nie wykryłam żadnych oddziaływań typu Psi.

- Proszę przygotować wypłatę - powiedział wug. I znowu się zaśmiał, czy może przesłał śmiech telepatycznie, Pete nie mógł zdecydować.

Tak czy owak dla Błękitnawego Lisa była to gwałtowna porażka. Wugi pobrały $ 70 000 z banku za postój na odpowiednim polu i dodatkowe $ 70 000 z funduszu grupy za mylne sprawdzenie blefu. Razem $ 140 000. Pete, oszołomiony, oparł się o krzesło, usiłując zachować pozory spokoju. Był do tego zobowiązany dla dobra grupy.

- Jeszcze raz namawiam was, byście się poddali - powiedział wug.

- O nie - odparł Joe Schilling. Jack Blau drżącą ręką przeliczał fundusz grupy i rozdawał pieniądze.

- To koniec - powiedział cicho Bill Calumine.

- Nie zdarzało ci się z gorszych opresji wyjść obronną ręką? - spytał z cierpkim uśmiechem Joe.

- A tobie? - odparował Calumine.

- Tak.

- Ale ostatecznie nie. Ostatecznie nie utrzymałeś się na planszy, Schilling. Ostatecznie przegrałeś. Podobnie jak przegrywasz w naszym imieniu teraz, przy tym stole.

Schilling nie odpowiedział, tylko zbladł.

- Grajmy dalej - zarządził Pete.

- To był twój pomysł, żeby go tutaj sprowadzać - wypomniał mu gorzko Calumine. - To przez niego mamy takiego pecha. Jako obrotowy...

- Nie jesteś już naszym obrotowym - cichym głosem zwróciła mu uwagę pani Angst.

- Grajmy - warknął Stuart Marks.

Kolejna karta została wyciągnięta i przekazana Dave'owi Mutreaux. Przez chwilę siedział nad odwróconą kartą, następnie powoli przesunął pionek o jedenaście pól. Twój kot odkrył na strychu drogocenny album ze znaczkami. Wygrałeś $ 3000.

- Blef - zdecydował wug.

Dave Mutreaux zamarł na chwilę i odkrył kartę. Jedenastka. Wug przegrał i musiał zapłacić. Suma nie była wielka, ale dla Pete'a stanowiła dowód, że wug również może się mylić. Zadrżał.

Blokada fenotiazynowa działała skutecznie.

Grupa miała szansę.

Teraz wug wyciągnął kartę, obejrzał ją i przesunął pionek o dziewięć pól do przodu. Błąd w starych zwrotach podatkowych. Wyceniany przez Rząd Federalny na $ 80 000.

Wug zadrżał konwulsyjnie, wydając z siebie coś, jakby słabiuchny, ledwie słyszalny jęk.

Pete zdawał sobie sprawę, że mógł to być blef. Gdyby go nie sprawdzili, wug, zamiast stracić, zyskałby wskazaną sumę. Wystarczyłoby, żeby wyciągnął kartę i udowodnił, że nie wyciągnął dziewiątki.

Członkowie Błękitnawego Lisa zagłosowali.

Zdecydowali, że ruch nie był blefem.

- Nie będziemy sprawdzać - oznajmił Joe Schilling.

Opornie i z nieznośną powolnością wug wypłacił bankowi ze swojej kupki pieniędzy $ 80 000. Ruch nie był blefem i Pete odetchnął z ulgą. Wug utracił teraz ponad połowę tego, co wygrał w poprzednim ruchu. Zdecydowanie nie mieli do czynienia z nieomylnym Graczem.

I, podobnie jak Błękitnawy Lis, wug nie potrafił ukryć przerażenia z powodu poważnej straty. Nie był człowiekiem, ale był istotą żywą, wyposażoną w cele, pragnienia i niepokoje. Był śmiertelnikiem.

Pete spojrzał ze współczuciem.

- Jeśli mi współczujesz, trwonisz uczucia po próżnicy - powiedział cierpko wug. - Nadal ostrzę sobie na was zęby, Terranie.

- Do czasu - zgodził się Pete. - Ty także podlegasz upadkowi. Podlegasz przegranej.

Błękitnawy Lis wyciągnął kolejną kartę, którą, jak przedtem, podsunięto Dave'owi Mutreaux. Tym razem czas, który spędził nad nią, wydawał się wiecznością.

- Mów wreszcie - wybuchnął w końcu Calumine.

- Trzy - mruknął Mutreaux.

Joe Schilling przestawił pionek Terran. Pete odczytał: Obsuwy błota zagrażają fundamentom domów. Zapłać firmie budowlanej $ 14 000.

Wug nie drgnął nawet.

- Ja... nie sprawdzam - oświadczył znienacka.

Dave Mutreaux spojrzał na Pete'a. Pete podniósł kartę i odwrócił ją.

Nie była trójką. Była czwórką.

Grupa, zamiast stracić, wygrała $ 14 000. Wug nie sprawdził blefu.

- Zdumiewające - powiedział wug - że upośledzenie zdolności psionicznych pomaga wam wygrywać. Działa na waszą korzyść. - Wyszarpnął kartę i pchnął pionek o siedem pól do przodu. Listonosz kontuzjowany na twoim chodniku. Nie kończący się proces udaje się zamknąć za sumę $ 300 000.

Chryste Panie, jęknął w duchu Pete. Suma była tak zabójcza, że wynik Gry z pewnością zależał od niej. Bacznie obserwował wuga, jak wszyscy z Błękitnawego Lisa, usiłując doszukać się jakichś wskazówek. Blefował czy nie?

Gdybyśmy mieli jednego telepatę, pomyślał z goryczą. Gdyby tylko...

Ale Patricia nie zagrałaby po ich stronie, a Hawthorne nie żył. Zresztą, gdyby mieli wśród siebie telepatę, przedstawiciele wugów bez wątpienia znaleźliby jakiś sposób, by go zneutralizować, podobnie jak oni sami zneutralizowali własnego. Obie strony zbyt długo grały w Grę, by dać się złapać w takie sidła. Obie strony były przygotowane.

Jeśli przegramy, zdecydował Pete, zabiję się, zanim wpadnę w tytańskie ręce. Sięgnął do kieszeni, usiłując przypomnieć sobie, co też tam ma. Raptem parę metamfetamin, zapewne pamiątek po popijawie z okazji szczęścia. Ileż to było dni temu? Jeden? Dwa? Czuł, jakby to było miesiące temu, światy całe od chwili, w której się znajdował.

Chlorowodorek metamfetaminy.

Podczas tamtego pijaństwa przypadkiem zamienił go w telepatę, co prawda nędznego, ale wystarczająco skutecznego. Metamfetamina stymulowała przysadkę; jej działanie było odwrotne do działania fenoliazyny.

Tak! - zdecydował.

Udało mu się, dławiąc, przełknąć bez wody dwie małe, różowe pastylki metamfetaminy.

- Zaczekajcie - ochryple zwrócił się do grupy. - Posłuchajcie, chcę decydować w tej rundzie. Zaczekajcie! - Żeby metamfetamina zaczęła działać, trzeba było co najmniej dziesięciu minut.

- Wasza strona oszukuje - powiedział wug. - Ktoś z waszej grupy zażył środki stymulujące.

- Uprzednio zaakceptowaliście leki z grupy fenotiazyn; ogólnie zgodziliście się na stosowanie środków farmakologicznych w tej Grze - odparował Joe Schilling.

- Ale ja nie jestem przygotowany na zdolności telepatyczne waszej strony - zaprotestował wug. - Zeskanowałem waszą grupę na początku i nie natrafiłem na zdolności tego rodzaju ani też plany, by takie zdolności posiąść.

- Najwyraźniej grubo się pomyliliście - zakpił Joe Schilling. Odwrócił się, by obserwować, podobnie jak wszyscy członkowie Błękitnawego Lisa, Pete'a. - I co? - spytał z napięciem.

Zacisnąwszy pięści, Pete Garden siedział w oczekiwaniu na skutki działania leku.

Minęło pięć minut. Nikt się nie odezwał, słychać było tylko Joe Schillinga pykającego cygaro.

- Pete - przerwał Bill Calumine obcesowo - nie możemy czekać ani chwili dłużej. Nie zniesiemy dłużej napięcia.

- To prawda - powiedział Joe Schilling. Jego twarz, czerwona i mokra, lśniła od potu, na domiar złego zgasło mu cygaro. - Decyduj, choćbyś nawet miał popełnić błąd.

- Pete! - zaalarmowała Mary Anne. - Wug usiłuje zmienić wartość karty.

- Wobec tego był to blef - powiedział bez namysłu. Musiał być, w przeciwnym przypadku wug zostawiłby kartę w spokoju. - Sprawdzamy blef - zwrócił się do wuga. Wug ani drgnął. Wreszcie niechętnie odwrócił kartę.

Szóstka.

Więc był to blef.

- Sam się zdradził - powiedział Pete. Dygotał na całym ciele. - W dodatku, wug może poświadczyć, amfetamina nie pomogła mi wcale. Mogę mówić głośno, bo wug i tak czyta w moich myślach. Wszystko okazało się blefem z naszej strony, z mojej strony. Nie miałem wystarczającej dawki amfetaminy ani godnej wzmianki ilości alkoholu we krwi. Wcale nie uzyskiwałem zdolności telepatycznych i nie byłem w stanie sprawdzić blefu. Jednak nie mogłem o tym wiedzieć.

Spalpitowany, szarogranatowy wug, banknot po banknocie odliczał Błękitnawemu Lisowi sumę $ 300 000.

Grupa była niezwykle bliska zwycięstwa. Wiedziała o tym i wiedział o tym siedzący naprzeciw nich wug. Słowa były zbędne.

- Gdyby nie stchórzył... - mruknął Joe Schilling. Drżącymi palcami udało mu się zapalić wygasłe cygaro. - Miałby przynajmniej pół na pół szansy. Najpierw poniosła go chciwość, potem strach. - Rozdał grupie uśmiechy. - W blefie to kiepska kombinacja. - Mówił cicho, dramatycznym tonem. - Podobna kombinacja u mnie, przed laty, pomogła zmieść mnie z planszy. W mojej ostatniej Grze przeciw Posiadaczowi Jerome'owi Luckmanowi.

- Wygląda na to, że mimo wszystkich wysiłków z mojej strony przegrałem z wami, Terranie.

- Nie zamierzasz grać dalej? - spytał Joe Schilling, wyjmując cygaro z ust i bacznym wzrokiem obrzucając wuga. Zdążył się już całkowicie opanować. Jego rysy nabrały surowości.

- Owszem, zamierzam grać dalej - odpowiedział wug.

Wybuch uderzył Pete'a Gardena w twarz. Plansza rozpłynęła się. Poczuł straszliwy ból. Wiedział, co się stało. Wug poddał się i w krańcowej rozpaczy postanowił zniszczyć ich razem z sobą. Grał dalej - ale w innym wymiarze. W kontekście diametralnie różnym.

A oni byli z nim. Na Tytanie. W świecie, który był jego światem, a nie ich.

W tej kwestii szczęście im nie dopisało.

Zdecydowanie nie.

17

Dotarł do niego chłodny, beznamiętny głos Mary Anne.

- Usiłuje manipulować rzeczywistością, Pete. W ten sam sposób, w jaki nas przewiózł na Tytana. Czy wolno mi zastosować wszystkie dostępne środki?

- Tak - zgodził się. Nie widział jej. Leżał w ciemnościach, w mrocznym basenie, który nie był obecnością materii wokół niego, lecz jej nieobecnością. Gdzie pozostali członkowie grupy? Czyżby zostali rozproszeni po wszystkim? Po milionach mil bezsensownej próżni? A może - po tysiącleciach?

Zapadła cisza.

- Mary - powiedział na głos.

Nie było odpowiedzi.

- Mary! - Krzyknął w rozpaczy, a jego głos zaskrzeczał w ciemnościach. - Też odeszłaś? - Nasłuchiwał. Nie było odpowiedzi.

A potem usłyszał, czy raczej wyczuł coś. W ciemnościach jakaś istota próbowała go znaleźć po omacku. Przedłużeniem jej zmysłów był czujnik, który szukał drogi do Pete'a, świadomy jego obecności i zaciekawiony nią w mroczny, ograniczony, a przecież przebiegły sposób.

To jest coś, co mieszka tutaj pomiędzy światami, pomyślał. Pomiędzy warstwami rzeczywistości dostępnymi naszemu doświadczeniu, naszemu i wugów. Idź ode mnie. Próbował się odczołgać, odejść szybkim krokiem czy przynajmniej przepędzić to coś.

Istota, coraz bardziej zaintrygowana, przysunęła się bliżej.

- Joe Schilling! - zawołał Pete. - Na pomoc!

- Ja jestem Joe Schilling - odparła istota. I zaczęła się do niego zbliżać pośpiesznie, zachłannie, rozciągając się na całą długość. - Chciwość i strach - powiedziała. - Kiepska kombinacja.

- Akurat jesteś Joe Schillingiem - powiedział przerażony. Przekręcił się. Spróbował się odturlać, ale tylko zderzył się, plasnąwszy, z tym czymś.

- Sama chciwość jednak nie jest aż takim złem - ciągnęła istota. - Ujmując rzecz w kategoriach psychologicznych, jest głównym napędem motywacyjnym systemu jaźni.

Pete Garden zamknął oczy.

- Wielki Boże. - To był Joe Schilling. W co zamieniły go wugi?

Kim byli - on i Joe Schilling, tutaj, w ciemnościach?

I czy była to faktycznie sprawka wugów? Może to oni obaj zapragnęli dać nauczkę wugom?

Nachylił się do przodu, namacał swoją stopę i zaczął gorączkowo rozwiązywać but; zdjął go i zamachnąwszy się do tyłu, palnął to coś, Joe Schillinga, z całej siły.

- Hmm - skwitowało to coś. - Muszę to sobie przemyśleć. - I wycofało się.

Dysząc, czekał na powrót istoty.

Czuł. że wróci.

Joe Schilling brnął w nieskończonej próżni, toczył się, wydało mu się, że upada, pozbierał się, zakrztusił dymem cygara i zaczął walczyć o oddech.

- Pete! - powiedział głośno. Nasłuchiwał. Nie było żadnego kierunku, żadnej góry ani dołu. Żadnego tutaj. Żadnego rozróżnienia na to, co było nim i co nim nie było. Żadnego podziału na ja i nie ja.

Cisza.

- Pete Garden - powiedział znów i tym razem poczuł coś, poczuł, choć w rzeczywistości nic nie usłyszał. - Czy to ty? - spytał.

- Tak, to ja - nadeszła odpowiedź. To był Pete.

A zarazem nie był.

- Co się dzieje? - zapytał Joe. - Co ta cholerna rzecz nam robi? Odrywa nas od świata realnego z prędkością mili na minutę. Ale wrócimy jeszcze na Ziemię. Wierzę, że znajdziemy drogę powrotną. Cokolwiek by mówić, wygraliśmy. A byliśmy pewni, że nam się to nie uda. - Znów zaczął nadsłuchiwać.

- Podejdź bliżej - poprosił Pete.

- Nie - odparł Joe. - Mam cholerne przeczucie, że nie powinienem ci ufać. Zresztą, jakbym mógł podejść bliżej? Mogę się tylko toczyć, a ty?

- Podejdź bliżej - powtarzał monotonnie głos.

Nie, powiedział do siebie Joe Schilling.

Nie ufał głosowi. Czuł lęk.

- Wynoś się - powiedział i zamarł, nasłuchując.

Nie odeszło.

Oszukał nas. Wygraliśmy i nic z tego nie mamy, myślała w ciemnościach Freya Gaines. Ten diabelny twór... nie powinniśmy mu byli zaufać ani słuchać Pete'a, kiedy namawiał nas, by zagrać z wugami.

Nienawidzę Pete'a, pomyślała. To wszystko przez niego i przez Joe.

Zabiję ich, jednego i drugiego, pomyślała z furią. Gdybym mogła, skręciłabym im karki. Wyciągnęła ręce, macając na oślep w ciemnościach. Zabiłabym teraz każdego, kto by się nawinął.

Krwi!

- Zauważ, że on pozbawił nas wszelkich kategorii pojmowania rzeczywistości - Mary Anne McClain zwróciła się do Pete'a. - Zmienił nas. Jestem tego pewna. Słyszysz mnie? - Przekrzywiła głowę, usilnie nasłuchując.

Cisza. Żadnej odpowiedzi.

Zatomizował nas. Tak, jakby każdy z nas uległ krańcowej psychozie, odizolowany od reszty ludzkości, odizolowany od znanych narzędzi czy metod postrzegania czasu i przestrzeni. Ta izolacja jest wytworem lęku i nienawiści, stwierdziła. Czym innym mogłaby być?

Nie mogła być realna. A jednak?

Czy może jest to rzeczywistość fundamentalna, głębsza od świadomych poziomów psychiki? Może tacy jesteśmy naprawdę? Unaoczniają nam to, zabijają prawdą o nas samych. Te ich zdolności telepatyczne połączone z umiejętnością tworzenia i przekształcania myśli, wlewania się do umysłu. Na samą myśl o tym otrząsnęła się.

I wtedy, pod sobą, zobaczyła coś żywego.

Obce, karłowate istoty, wciśnięte przez potężne siły w żałosne, zdeformowane, ułomne kształty. Zmiażdżone w oślepłe drobiny. Patrzyła na nie; gasnące światło olbrzymiego, zachodzącego słońca posłało ostatnie promienie, a potem, na jej oczach, przybrało barwę ciemnej czerwieni, by wreszcie, jak co dnia, pochłonęła je nieprzenikniona ciemność.

Lekko fosforyzujące, jak organizmy zamieszkujące morskie głębiny, karłowate istoty w pewnym sensie żyły nadal. Nie było to jednak przyjemne.

Rozpoznała je.

To my. Terranie widziani oczyma wugów. Bliscy słońca, podlegli potężnej grawitacji. Zacisnęła powieki.

Rozumiem, pomyślała. Nic dziwnego, że z nami walczą. Dla nich jesteśmy starą, dogasającą rasą, która ma za sobą swój okres świetności. Trzeba ją zmusić siłą, by zeszła ze sceny.

Potem zjawiły się wugi. Lśniące, nieważkie stworzenie wzlatywało hen, poza zasięg miażdżącego ciśnienia, poza zasięg nieokrzesanej, dogorywającej rasy. Na mały księżyc, daleki od wielkiego, starożytnego słońca.

Chcecie nam to pokazać, zrozumiała. Tak waszym oczom jawi się rzeczywistość, równie realna, jak z naszego punktu widzenia.

To jednak już nieaktualne.

Nie chwytasz tego?, spytała połyskliwej, nieważkiej istoty, która była wirującym spiralnie Tytańczykiem. Nie widzisz, że nasz punkt widzenia jest równie prawdziwy? Wasz punkt nie zastąpi naszego. A może właśnie zastąpi? O to właśnie wam chodzi?

Zacisnąwszy trwożnie powieki, czekała na odpowiedź.

- W idealnym świecie - napłynęła do niej odpowiedź - obie wizje mogą współistnieć ze sobą. Jednak w praktyce się to nie sprawdza.

Otworzyła oczy i zobaczyła rozlewający się glut obwisłej, żelatynowej protoplazmy. Glut, jak na kpinę, miał z przodu wyhaftowane czerwoną nicią: E.B. Black.

- Słucham - powiedziała, rozglądając się wokół.

- Wystąpiły trudności - słał do niej mentalnie E.B. Black. - Nie rozwiązywaliśmy ich sami, stąd konflikt w łonie naszej kultury. Zapanowałem nad Graczami, którzy byli przeciwnikami waszej grupy. Jesteś teraz na Ziemi, w waszym mieszkaniu w San Rafael, gdzie prowadzę aktualnie dochodzenie.

Światło i grawitacja... Była w zasięgu obydwu.

- Widziałam... - Podniosła się ostrożnie do pozycji siedzącej.

- Oglądała pani widok, który nas fascynuje. Nie potrafimy się od niego wyzwolić. - Wug falując, zbliżył się do niej, chcąc, by jego myśli były prawdziwie wyraziste. - Zdajemy sobie sprawę, że jest to stronniczy punkt widzenia, niestosowny wobec was, Terran, którzy ze swej strony rewanżujecie się, jak sama mówisz, równie zasadnym, choć z gruntu

przeciwnym punktem widzenia nas. Byłoby nie w porządku kazać wam dłużej funkcjonować w naszych kategoriach odniesienia - dodał.

- Wygraliśmy z wami - odezwała się Mary Anne.

- Nasi obywatele są tego świadomi. Odcinamy się od rewanżystowskich posunięć naszych podekscytowanych Graczy. Po wygranej, naturalnym biegiem rzeczy, powinniście byli zostać odesłani na Terrę. Każde inne rozwiązanie nie byłoby w porządku, chyba że w oczach naszych ekstremistów.

- Waszych Graczy?

- Nie zostaną ukarani. Zbyt szczytne pełnią funkcje w naszej kulturze. Niech się pani cieszy, że jest pani w domu. Niech pani będzie zadowolona, panno McClain - powiedział szorstko.

- A inni członkowie Grupy? Gdzie są teraz? - spytała. Ewidentnie nie było ich w mieszkaniu w San Rafael. - Są w Carmel?

- W różnych miejscach - odparł E.B. Black z irytacją. Nie umiała powiedzieć, czy był zły na nią, na członków grupy czy na swoich rodaków. Sprawiał wrażenie rozdrażnionego całą sytuacją. - Zobaczy ich pani znowu, panno McClain. A teraz, jeśli można, chciałbym kontynuować przesłuchanie...

Zbliżył się do niej, a ona zrobiła krok w tył, wzdragając się przed kontaktem fizycznym. E.B. Black za bardzo przypominał jej tamtego wuga, z którym grali - grali i zwyciężyli, a potem zostali podstępnie pozbawieni swojego zwycięstwa.

- To nie był podstęp - sprzeciwił się E.B. Black. - Wasza wygrana została po prostu czasowo wstrzymana. Nadal się wam należy i otrzymacie ją. W odpowiednim czasie - dorzucił. W jego głosie wyczuwało się lekki posmak satysfakcji. E.B. Black nie był szczególnie zasmucony trudnym położeniem Błękitnawego Lisa, tym, że grupa uległa rozbiciu, panice i dezorientacji. Uległa chaosowi.

- Mogę pojechać do Carmel? - spytała.

- Jasne. Może sobie pani jechać, gdzie się pani żywnie podoba, panno McClain. Ale Joe Schillinga nie ma w Carmel. Będzie pani musiała szukać go gdzie indziej.

- Poszukam - powiedziała. - Będę szukać, aż znajdę. Pete'a Gardena również. Będę szukać, dopóki grupa nie zejdzie się z powrotem. Tak jak wtedy, gdy siedzieliśmy oddzieleni planszą od tytańskich Graczy; jak w Carmel, dziś wieczór, raptem chwilę temu.

Chwilę temu, a przecież w zamierzchłej przeszłości.

Wyszła z mieszkania, nie oglądając się za siebie.

Jakiś głos, naglący i zrzędliwy, napastował Joe Schillinga. Cofnął się przed nim - próbował w każdym razie - ale głos pełzł za nim.

- Hmm - mruczał. - Emm, tego, ma pan minutkę, panie Schilling? - Dryfując w ciemnościach, przybliżał się coraz bardziej, aż głos był tuż i zaczął go dusić. Joe stracił oddech. - Zajmę panu najwyżej minutkę, dobra? - Zamilkł. Joe nie odzywał się. - No więc - podjął głos - powiem panu, o co mi idzie. Póki pan jest naszym gościem, a pozwolę sobie powiedzieć, że to naprawdę niezwykły zaszczyt dla nas. Rozumie pan.

- Złaź ze mnie - powiedział Schilling. Zamachnął się i jego ręka przeszła przez szereg pajęczyn, lepkich, luźnych strzępów pajęczyny. I nie trafiła na nic.

- Aha, chcieliśmy o coś pana spytać, ja i Es. Rzecz w tym, że rzadko bywa pan w Portland, prawda? Więc może ma pan przypadkiem ze sobą to nagranie Erny Berger - jakżeż się to nazywało? Już wiem, *Die Zauberfloete*.

- Aria królowej Nocy - podpowiedział, dysząc ciężko Schilling.

- Tak, właśnie. Głos pełzł po nim zachłannie, cisnąc nieubłaganie. Nigdy już nie miał odpuścić.

- Da dum-dum DUM, da di-di da-da dum dum - dołączył drugi, kobiecy głos. Teraz oba głosy gdakały do Joe.

- Tak, mam - odparł. - Na szwajcarskiej *His Master's Voice*. Obie arie królowej Nocy. Jedna po jednej, druga po drugiej stronie.

- Mógłby je pan nam sprzedać? - spytały głosy chórem.

- Owszem - odparł.

Przed oczyma Joe zamigotały rozbłyski szarego światła. Udało mu się wstać. Był w swoim antykwariacie w Nowym Meksyku? Nie. Głosy powiedziały, że był w Portland w Oregonie. Co tutaj robił? Dlaczego wug przeniósł go w to miejsce? Rozejrzał się dookoła.

Stał w nieznajomym salonie starego domu, na podłodze z gołych desek. Przed nim, na wyjedzonej przez mole czerwono-białej sofce siedziały dwie znane postacie, niskie, przysadziste, źle ostrzyżone. Mężczyzna i kobieta łypali na niego chciwym wzrokiem.

- Nie ma pan z sobą przypadkiem płyty? - zagęgała Es Sibley. Oczy siedzącego obok Lesa Sibleya rozbłysły entuzjazmem. Nie mógł usiedzieć w miejscu. Zerwał się z kanapy i głucho dudniąc, zaczął dreptać po pustym salonie.

W rogu gramofon grał *Cherry Duet*. Joe Schilling, jak nigdy dotąd, pragnął zatkać uszy rękoma, by odciąć dopływ dźwięków. Płyta nieznośnie zgrzytała i skrzypiała, przyprawiając go o ból głowy. Odwrócił się od gramofonu. Niepewnie zaczerpnął tchu.

- Nie - odparł. - Mam ją u siebie w sklepie. - Cholernie potrzebował filiżanki gorącej czarnej kawy lub herbaty. Dobrej herbaty ulung.

- Dobrze się pan czuje, panie Schilling? - spytała Es Sibley.

- W porządku - odparł. Zastanawiał się, co się dzieje z resztą grupy. Czy wszyscy poszli w rozsypkę i dryfowali, niczym zeschłe liście, nad równinami Ziemi? Zapewne tak. Tytańczycy nie umieli się poddać bez reszty.

Przynajmniej jednak grupa wróciła. Gra była skończona.

- Słuchajcie. - Formułował swoje pytanie bardzo ostrożnie, słowo po słowie. - Czy... mój... samochód... jest... na... zewnątrz? - Taką miał nadzieję. O to się modlił w duchu.

- Nie - odparł Les Sibley. - Wzięliśmy pana do wozu i przywieźliśmy do Oregonu, nie pamięta pan? - Obok niego Es zachichotała, ukazując wielkie, solidne zęby. - Nie pamięta, skąd się tu wziął - powiedział do niej Les i oboje zaśmiali się, tym razem chórem.

- Chcę zadzwonić do Maxa - powiedział Joe. - Bardzo mi przykro, ale to konieczne. - Wstał chwiejnie. - Do widzenia.

- Ale płyta Erny Berger! - zaprotestowała z niepokojem Es Sibley.

- Przyślę ją. - Krok za krokiem posuwał się w stronę drzwi. Miał niejasne wspomnienie, czy może intuicję, gdzie się znajdują. - Muszę znaleźć jakiś wideofon. Zadzwonić po Maxa.

- Może pan stąd zadzwonić - powiedziała Les Sibley, prowadząc go na korytarz do pokoju stołowego. - W tej sytuacji może mógłby pan zostać troszkę...

- Nie. - Schilling wypatrzył wideofon i mocno wystukał numer samochodu.

- Taa? - rozległ się głos Maxa.

- Tu Joe Schilling. Przyleć i weź mnie stąd.

- Sam weź swój tłusty tyłek w troki - odparł samochód.

Joe podał mu adres. A potem wrócił korytarzem do salonu. Usiadł z powrotem na tym samym fotelu, dumając z nadzieją o cygarze czy chociaż fajce. Muzyka coraz nachalniej wciskała mu się w uszy. Skulił się w sobie.

Siedział, splótłszy dłonie, i czekał. Mimo wszystko, z chwili na chwilę, czuł się coraz lepiej. Coraz lepiej rozumiał, co się wydarzyło. Jakim cudem wydostali się stamtąd.

Stojąc w zagajniku eukaliptusów, Pete Garden wiedział, gdzie się znajduje. Wugi wypuściły go i był w Berkeley. W swojej dawnej rezydencji, którą przegrał do Walta Remingtona, który z kolei przekazał ją Pendleton i S-ka, którzy z kolei sprzedali ją Luckmanowi, który aktualnie nie żył.

Przed nim, pośród drzew, na nie heblowanej ławce siedziała milcząca, nieruchoma postać. Była jego żoną.

- Carol. Wszystko w porządku?

- Tak, Pete. - Kiwnęła głową w zadumie. - Siedzę tutaj już dłuższy czas, myśląc o tym wszystkim. Wiesz, mamy wielkie szczęście, że ona jest po naszej stronie, ta Mary Anne McClain.

- Tak - zgodził się. Podszedł do niej i po wahaniu usiadł obok. Jej widok wypełnił go niewysłowionym szczęściem.

- Możesz sobie wyobrazić, co by zrobiła z nami, gdyby była złośliwa? Powiem ci, Pete. Mogłaby mi wyrwać dziecko z brzucha. Pomyślałeś o tym?

Nie, nie pomyślał. Było mu trudno nawet o tym słuchać.

- Prawda - przyznał, a jego serce kolejny raz ścisnął lodowaty strach.

- Nie bój się - powiedziała Carol. - Ona tego nie zrobi. Tak jak ty nigdy nie będziesz nikogo ścigał i rozjeżdżał samochodem. Chociaż przecież dałbyś radę to zrobić. A jako Posiadaczowi mogłoby ci to nawet ujść na sucho. - Uśmiechnęła się do Pete'a. - Mary Anne nie zagraża żadnemu z nas. Pod wieloma względami, Pete, ona jest rozsądniejsza od nas obojga. Rozsądniejsza i bardziej dojrzała. Miałam wiele czasu, żeby to przemyśleć, kiedy tutaj siedziałam. Jakbym siedziała tu całe lata.

Poklepał ją po ramieniu, a potem schylił się i pocałował.

- Mam nadzieję, że uda ci się odzyskać Berkeley - powiedziała. - Zdaje się, że jest obecnie własnością Dotty Luckman. Powinno ci się udać. Nie gra zbyt dobrze.

- Myślę, że mogłaby oddać Berkeley - powiedział Pete. Luke zostawił jej akty własności na Wschodnim Wybrzeżu.

- Czy myślisz, że uda się nam zatrzymać Mary Anne w grupie?

- Nie - odparł.

- Szkoda. - Carol rozejrzała się po wielkim zagajniku wiekowych eukaliptusów. - Przyjemnie tutaj, w Berkeley. Rozumiem teraz, czemu tak bardzo cierpiałeś nad jego stratą. Luckman nie cieszył się tym miastem samym w sobie; dla niego miało być tylko bazą do grania i wygrywania. - Urwała. - Zastanawiam się, Pete, czy poziom urodzin wróci do normy. Teraz, kiedy wygraliśmy.

- Jeśli nie wróci, to będzie z nami bardzo źle - odparł.

- Wróci - powiedziała Carol. - Wiem, że wróci. Jestem pierwszą z wielu kobiet. Czy to prekognicja, czy mam zdolności Psi, dość że jestem tego pewna. Jak mu damy na imię?

- To będzie chyba zależało od tego, czy będzie chłopiec czy dziewczynka?

Uśmiechnęła się.

- Może jedno i drugie.

- To by znaczyło - powiedział - że Freya miała rację, kiedy w przypływie schizoidalnej złośliwości powiedziała, że ma nadzieję, iż jest to dziecko, sugerując, że nie ma co do tego pewności.

- To znaczy, mam na myśli jedno i drugie. Bliźnięta. Kiedy urodziła się ostatnia para bliźniąt?

Odpowiedź znał na pamięć.

- Czterdzieści dwa lata temu. W Cleveland. Pani i panu Toby'emu Peracie.

- Moglibyśmy być następni - westchnęła.

- Mało prawdopodobne.

- Ale wygraliśmy - powiedziała cicho. - Nie zapominasz?

- Nie zapominam - odparł Pete Garden. I objął swoją żonę.

Potykając się w ciemnościach o coś, co okazało się krawężnikiem, David Mutreaux dotarł do głównej ulicy małego, farmerskiego miasteczka w Kansas. W oddali zobaczył światła - odetchnął z ulgą i przyśpieszył kroku.

Najbardziej potrzebował samochodu. Nie próbował nawet wzywać własnego. Bóg jeden wiedział, gdzie był i jak długo musiałby czekać na jego przylot, o ile w ogóle udałoby mu się z nim skontaktować. Tymczasem wędrował jedyną większą ulicą w miasteczku - ulicą Fernley - w stronę homeostatycznej agencji wynajmu samochodów.

Wynajął samochód, odjechał nim kawałek, po czym zaparkował na poboczu i siedział samotnie, zbierając się na odwagę.

- Słuchaj, jestem Terraninem czy wugiem? - spytał efekt Rushmore'a samochodu.

- Hmm - odparł samochód - jest pan Davidem Mutreaux z Kansas City. Jest pan Terraninem, panie Mutreaux. Czy ta odpowiedź pana zadowala?

- Bogu dzięki - powiedział Mutreaux. - Tak, ta odpowiedź mnie zadowala.

Po czym uruchomił samochód i poszybował nad ziemią, kierując się w stronę Carmel i Zachodniego Wybrzeża.

Mogę bezpiecznie do nich wracać, perswadował sobie. Nic mi nie grozi z ich strony. Nic a nic. Ponieważ obaliłem rządy Tytana. Doktor Philipson jest na Tytanie, Natsa Katza rozwaliła młoda psychokinetyczka Mary Anne McClain, a organizacja - od początku tknięta rozkładem - została starta w proch. Niczego nie muszę się bać. W rzeczy samej przyłożyłem się do wygranej - sprawdziłem się w Grze.

Przewidział, jak go przyjmą. Członkowie Błękitnawego Lisa będą napływać po jednym z rozmaitych miejsc na Ziemi, gdzie ostatecznie odstawili ich Tytańczycy. W powtórnie zawiązanej grupie mieli być wszyscy razem. Odkorkują butelkę Jacka Danielsa - whisky z Tennessee oraz butelkę whisky kanadyjskiej...

Pilotując samochód w stronę Kalifornii, czuł już jej smak na wargach, słyszał głosy, widział członków grupy.

Świętowali wspólne zwycięstwo. Nikogo nie zabrakło.

Czy rzeczywiście? W każdym razie, prawie nikogo. Zupełnie mu to wystarczyło.

Wlokąc się przez piaszczystą i jałową pustynię Nevady, Freya Garden Gaines wiedziała, że nieprędko dotrze do apartamentu kondominium w Carmel.

Jakie to zresztą miało znaczenie? Do czego się miała śpieszyć? Myśli, które nawiedzały ją, kiedy błądziła w światach pośrednich, do których wrzucili ich tytańscy Gracze... Nie mam zamiaru się tych myśli wypierać, pomyślała z pełną jadu goryczą. Pete ma tę swoją ciężarną kobyłę, Carol; nie zobaczy mnie więcej, póki żyję.

Wygrzebała w kieszeni pasek królika, rozwinęła i zagryzła. W świetle zapalniczki obejrzała królika. Zgniotła i cisnęła jak najdalej. Nic. I zawsze już tak pozostanie. To wina Pete'a - skoro potrafił to zrobić z tą kreaturą Carol Holt, równie dobrze mógł ze mną. Bóg jeden wie, ile razy próbowaliśmy, chyba z parę tysięcy. Ewidentnie nie zależało mu na powodzeniu.

Dwa bliźniacze światła zabłysły w oddali. Przystanęła ostrożnie, wstrzymując oddech. Ciekawe, dokąd zawędrowała?

Samochód ostrożnie zniżał się do powierzchni pustyni. Światła sygnalizacyjne zapalały się i gasły. Wylądował i stanął.

Drzwi otwarły się.

- Pani Gaines! - dobiegło ją radosne wołanie.

Wytężając wzrok, ruszyła w stronę samochodu.

Za kierownicą siedział łysiejący, sympatyczny, starszy pan.

- Cieszę się, że panią znalazłem - powiedział. - Proszę wsiąść i zaraz zabierzemy się z tej koszmarnej pustyni. Dokąd pani dokładnie chce lecieć? Do Carmel? - Zachichotał.

- Nie, nie do Carmel - odparła. Nigdy więcej, dodała w myślach.

- Dokąd więc? Może do Pocatello w Idaho?

- Czemu do Pocatello? - zdziwiła się. Jednak wsiadła do samochodu. Zawsze było to lepsze od błąkania się bez celu po pustyni, samotnie, w ciemnościach, gdy nikt - aż pewnością nikt z grupy - nie zamierzał jej pomóc. Wszystkim było obojętne, co się z nią dzieje.

- Jestem doktor E.R. Philipson - miłym głosem poinformował ją starszy pan, gdy samochód ruszył.

Spojrzała na niego. Wiedziała - była pewna, że wie - kim był. Czy raczej, czym był.

- Woli pani wysiąść? - spytał ją. - Mogłem panią zostawić tam, gdzie panią znalazłem.

- N-nie - wymamrotała. Cofnęła się na siedzeniu i obserwując go kątem oka, poddała się natłokowi myśli.

- Pani Gaines, co pani na to, żeby tak dla odmiany popracować dla nas? - zwrócił się do niej doktor Philipson. Obdarzył ją uśmiechem wypranym z ciepła i humoru. Uśmiechem lodowatym.

- To interesująca propozycja - odparła - jednak muszę się zastanowić. Nie jestem w stanie zdecydować ot tak, w tej chwili.

W gruncie rzeczy bardzo interesująca, pomyślała.

- Ma pani czas - powiedział Philipson. - Jesteśmy cierpliwi. Dajemy pani tyle czasu, ile pani trzeba - dodał z żartobliwym błyskiem w oku.

Odpowiedziała uśmiechem.

Nucąc zawadiacko pod nosem, doktor Philipson prowadził samochód w stronę Idaho, szybując w ciemnościach terrańskiej nocy.